Nr. 17 (1270). Warszawa, 23 (6) Kwietnia 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

TREŚĆ: Najwyższy Ukaz imienny do senatu rządzącego. — POLITYKA: W Wenecyi. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Verner von Heidenstam Kamień graniczny, przeł. J. Klemensiewiczowa. — ŻYCIE SPOŁECZNE: 1 maja. — Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Listy z Francyi, p. dra J. Zielińskiego.— Uwagi w sprawie wychodźstwa zamorskiego, przez p. Obserwatora (dokończenie). — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Th. Lipps. Przyczynek do psychologii dekadentyzmu, spolszczyła M. Kalinowska, (dokończenie). — LITERATURA I SZTUKA: Cypryan Norwid, p. Zbigniewa Brodzkiego, (dokończenie). — Życie publiczne w Rosyi. — Kronika — Ofiary.

Najwyższy Ukaz imienny
do senatu rządzącego
o utwierdzeniu zasady tolerancyi religijnej.

W stałej, według tradycyi przodków, łączności ze świętą cerkwią prawosławną niezmienną czerpiąc dla Siebie otuchę do odnowienia sił duszy, mieliśmy zawsze pod serdeczny zapewnienia każdemu z Naszych poddanych, by miał swobodę wiary i modlił się według nakazu swego sumienia.

Troszcząc się o urzeczywistnienie tych zamiarów, do liczby wskazanych w Ukazie z dnia 12 (18) grudnia reform włączyliśmy zarządzenie istotnych środków ku usunięciu ograniczeń z zakresu religii. Obecnie, rozpatrzywszy ułożone ku wykonaniu tego w komitecie ministrów postanowienia i znajdując, że odpowiadają wewnętrznemu Naszemu życzeniu umocnienia wskazanej w zasadniczych ustawach państwa rosyjskiego zasady tolerancyi, uznaliśmy za dobre postanowienia te zatwierdzić, wzywając błogosławieństwa Najwyższego na to dzieło pokoju i miłości i wierząc, że posłuży ono ku tem większemu wyniesieniu wiary prawosławnej, którą wzbudza łaska Boża, łagodność i dobry przykład, zgodnie z tem postanowieniem Naszem rozkazujemy:

1. Uznać, że odstąpienie od wiary prawosławnej do innego chrześciańskiego wyznania lub doktryny nie podlega prześladowaniu i nie powinno pociągnąć za sobą żadnych niekorzystnych następstw co do praw osobistych i obywatelskich a ci, którzy odpadną od prawosławia po dojściu do pełnoletności, uważani być mają za należących do tego wyznania lub doktryny, które sami sobie wybrali.

2. Uznać, że na wypadek przejście jednego z małżonków, wyznających tę samą religię chrześciańską, na inne wyznanie, wszystkie niepełnoletnie dzieci pozostają w dawnej wierze, którą wyznaje drugi małżonek; w razie zaś zmiany wyznania przez oboje małżonków, dzieci, które nie skończyły 14 lat wieku, idą za religią rodziców, te zaś, które doszły już do lat 16 pozostają w dawnej wierze.

3. Ustanowić, jako uzupełnienie do tych przepisów, że osoby, zaliczone do prawosławia a w rzeczywistości wyznające tę chrześciańską wiarę, do której oni sami lub przodkowie ich należeli, mają być na życzenie wyłączeni z prawosławia.

4 Dozwolić chrześcianom wszystkich wyznań przyjmowanych przez nich na wychowanie nieochrzczonych podrzutków i dzieci rodziców niewiadomych chrzcić według obrządków swojej wiary.

4. Ustanowić w prawie różnicę pomiędzy nauczaniem wiary, objętych dzisiaj nazwą odszczepieństwa od wiary (raskoł), podzielić na trzy grupy: I związki starowiercze, II — sekciarstwo i III — zwolennicy nauk zabobonnych, do których samo należenie jest karane w postępowaniu karnem.

6. Uznać, że decyzye prawa, nadające prawo odbywania publicznych nabożeństw i określające stan raskolnictwa, pod względem cywilnym obejmują zwolenników zarówno związków starowierczych, jak i doktryn sekciarskich; zaś spełnione nie z pobudek religijnych przekroczenie praw, ma być karanem, według ustanowionej przez prawo odpowiedzialności.

7. Nadać miano starowierców, zamiast obecnie używanej nazwy raskolników, wszystkim zwolennikom sekt i związków, którzy przyjmą zasadnicze dogmaty Cerki prawosławnej, lecz nie uznają niektórych, przyjętych przez nią obrzędów i odprawiają swoje nabożeństwo według ksiąg dawno drukowanych.

8. Uznać, że budowa domów modlitwy starowierczych, sekciarskich, zarówno jak zezwolenie na ich odnowienie i zamknięcie powinno się odbywać stosownie do zasad, jakie istnieją lub będą ustanowione dla świątyń wyznań obcych.

9. Udzielić osobom duchownym, wybieranym przez gminy starowierców i sekciarzy, prawa odbywania obrządków religijnych i tytułów proboszczów i przeorów, przyczem osoby te, po zatwierdzeniu ich na urzędzie przez właściwe władze państwowe wykreślane będą ze stanu mieszczańskiego i włościańskiego, jeżeli do tych stanów należały, i uwolnione od powinności czynnej wojskowej.

Również pozwolić na oznaczanie w wydawanych osobom tym pasportach, w rubryce obejmującej rodzaj zajęcia, należnego im pośród swego duchowieństwa tytułu; nie używając atoli nazw prawosławnych, hierarchicznych.

10. Pozwolić tym samym duchownym swobodnie odprawiać obrzędy religijne prywatnie i w domach modlitwy, jak również w innych razach, tylko z zakazem przywdziewania ubiorów kościelnych w wypadkach przez prawo zabronionych. Proboszczom i przeorom przy zaświadczeniu testamentów nadać te same prawa, które posiadają wogóle wszyscy duchowni.

11. Zrównać w prawach starowierców i sekciarzy z osobami wyznania prawosławnego co do zawierania z prawosławnymi związków małżeńskich mieszanych.

12. Rozpieczętować wszystkie domy modlitwy, zamknięte na mocy rozporządzeń administracyjnych, bez wyłączenia wypadków przedstawionych przez komitet ministrów do władzy Najwyższej, również jak zamkniętych z wyroku instancyi sądowych, z wyjątkiem tych modlitewni, które zamknięte zostały w rzeczywistości za niewykonanie wymagań ustawy budowlanej.

13. Postanowić, jako prawo ogólne, że dla pozwolenia na budowę i wznowienia odnawiania cerkwi i domów modlitwy wszystkich chrześciańskich wyznań, koniecznem jest: A. zgoda władzy duchownej danego wyznania obcego; B. istnienie koniecznych funduszów; C. wypełnienie technicznych wymagań ustawy budowlanej. Wyjątki z tego prawa ogólnego, o ile będą uznane za konieczne, mogą być ustanawiane jedynie w porządku prawodawczym.

14. Uznać, że we wszystkich zakładach naukowych wykład religii obcych wyznań chrześciańskich i innowierczych odbywać się będzie w języku ojczystym uczących się, przyczem wykład winien być powierzony osobom duchownym danego wyznania, tylko w razie ich nieobecności nauczycielom świeckim tego samego wyznania.

15. Uznać za podlegające przejrzeniu prawa, dotyczące ważniejszych stron życia

religijnego osób wyznania mahometańskiego.

16. Poddać rozpoznaniu istniejące prawo lamaitów, zabraniając na przyszłość uważania ich w urzędowych aktach za bałwochwalców i pogan.

17. Niezależnie od tego urzeczywistnić zatwierdzone przez Nas postanowienie komitetu ministrów w porządku wykonania punktu szóstego Ukazu z dnia 12/XII roku ubiegłego.

Dla wykonania niniejszego Senat rządzący wyda odpowiednie rozporządzenia.

Na oryginale własną ręką Jego Cesarskiej Mości podpisano

MIKOŁAJ.

Dan w Carskiem Siole 17/IV 1905.

POLITYKA

W Wenecyi.

Zapowiedziany zjazd ministrów: włoskiego i Austro-Węgierskiego, nie zawiódł swych heroldów: rzeczywiście dnia 29 z. m. zjechali się w Wenecyi pp. Tittoni i Gołuchowski. Widzieli się się krótko przed południem, a wieczór poświęcili na obiad dyplomatyczny z 22 zaproszonymi. Ile czasu im zajęły układy dyplomatyczne — korespondencye nie mówią; ale obiad miał trwać trzy godziny. Zapewne był on ważną częścią zjazdu, mającego, prócz innych znamion jeszcze i charakter rewizyty, wywzajemnianych za przeszłoroczną Abbazię odwiedzin, nie był jednak częścią najważniejszą. Niewątpliwie ubijano w Wenecyi jakiś interes, a do tego obiad się nie nadawał. Chciano też zamanifestować przed światem swe uczucia, swą wytrwałość w przymierzu i tu już skorzystano z obiadu. Toasty były głosami obustronnych serc. Serce włoskie nie uderzyło zbyt silnie, unikało wyrazów „przymierze, sprzymierzeniec" i prócz komunału nie dało nic; za to austryackie serce p. Gołuchowskiego nie ulękło się silniejszego tonu, rozrzewniło się przyjaźnią i popchnęło ramię do uścisku. Austrya powitała w toaście swoim Włochy, jako sprzymierzeńca: wyraz ciężki, brzemienny — wyzwaniem przyszłości, fatalistyczny.

Austrya nie może być sprzymierzeńcem Włoch, bo Austrya jest ich urodzonym wrogiem; nie przestała nim być pomimo zwrotu zagrabionej Lombardyi i wytargowanej na Bonapartym i dyrektoryacie Wenecyi. Dopóki Trentino, Tryest, Istrya, część Dalmacyi zostają pod panowaniem austryackiem, dopóty o przymierzu między Austryą a Włochami mówić mogą tylko w Berlinie, gdzie potrzebują Austryi zhołdowanej dyplomatycznie, a wskutek tego i Włoch, zachowujących z nią stałe zawieszenie broni. Takie też tylko znaczenie— wojny, powściąganej od wybuchu może, mieć wrzekome przymierze. Niejednokrotnie tu już i niedawno jeszcze wykazywano, że istotnymi sprzymierzeńcami w trójprzymierzu są Prusy i Włochy. Sprzężenie z sobą dwu potęg rozdzielanych nienawiścią narodową Włochów służy tylko do tem łepszego przykrępowywania Austryi, na którą równie jak w roku 1866 Berlin mógłby każdej chwili rzucić Włochy, gdyby i sam postanowił na nią natrzeć. Zupełnie nierozumnem wydać się musi każdemu zdanie, coraz popularniejsze w dziennikach półurzędowych, że obu rządów nie dzieli nic, prócz takiej bagatelki jak irrendentyzm włoski. W tej bagatelce zamknięta jest, spowita, przez złe duchy zaklęta tragedya przyszłości. Pierwszy cios Austryi wymierzą Włochy — i nawet pobite, jak w roku 1866, osiągną jeszcze to, po co sięgać już zaczęły.

Korespondent *Timesa* z Wenecyi z dnia 30 kwietnia nie jest tak zarozumiałym, żeby wiedział, co mianowicie poza obiadem sobie powiedziano; nie jest też tak bezczelnym, aby kłamał to, czego nie wie: ale, czy to z zasięgniętych wiadomości, czy też z domniemań, opartych na wskazówkach, słusznie przedmiot narad wskazuje w równowadze na Adryatyku. Całe wogóle upostaciowanie się stosunku między Austryą a Włochami jest sprawą tej właśnie równowagi. Jeśli Włochy czegokolwiek pragną z tego, co ma Austrya, to nic takiego, coby nie leżało nad Adryatykiem, nie docierało do jego pomorzy, a po szczęśliwem osiągnięciu celu przez Włochy nie rozstrzygało o panowaniu ich morskiem na Adryatyku. Naruszenie dzisiejszej równowagi—to przewaga Włoch wskutek terytoryalnych zdobyczy na pomorzach; utrzymanie jej nadal — to nietykalność dzisiejszych posiadłości austryackich, ludowych, wbrew gorącym pragnieniom Irredenty, tajemnie przez rząd włoski nietylko tolerowanym, ale i podsycanym. Równowaga na morzu teoretycznie jest również tylko takiem samem zawieszeniem broni, jak i owo przymierze na lądzie. I tu i tam jest wszystko, co rozdziela, niema niczego coby łączyło— pod obecnym widnokręgiem.

Można jednak widnokrąg rozszerzyć i już zaczęto ku temu dążyć na zjeździe przeszłorocznym, kiedy wysunięto sprawę Albanii włoskiej, a minister austryacki zobowiązywał się żadnej zmiany terytoryalnej na półwyspie Bałkańskim nie przedsiebrać i nie upoważniać bez porozumienia się z Włochami. Kwestya bałkańska stała się dzięki

Verner von Heidenstam.

Kamień graniczny.

Wyładowane sianem wtaczały się sanie do stodoły; spojrzawszy na grabie, błyszczące w słońcu, pomyślałem, że prawdopodobnie wykuł je kowal z kul i starego żelastwa, które znalazł gdzieś w skrzyni na strychu cmentarnym, bo skądże miał przypuszczać, że to należy przechowywać, jako pamiątki przeszłości.

Ja szedłem naturalnie pieszo, ale myśl jest przecie chyża, a ponadto przeskakuje nietylko mury i wały, lecz i stuleciu także. Ściemniło się, gdy stałem jeszcze w lasku, wśród krzaków leszczyny, wysoko nad zaśnieżonym stokiem, tuż u granicy duńskiej i patrzyłem na nieliczne chaty i lepianki, majaczące słabo po drugiej stronie zamarzniętego strumyka.

Dziesięciu maruderów, zmęczonych głodem i niewywczasem rzuciło się między jałowce, a chociaż noc lutowa mroźna była, nie mieli odwagi rozniecić ogniska, aby ich nie dostrzeżono. Jakiś parobczak wiejski trzymał w garści, sinej od mrozu, płonący z trzaskiem wiór sosnowy. Z powodu długich włosów nazywali go kozłem. Po sposobie, w jaki odzywano się do niego, poznać było można, że zmuszono go do pokazania drogi i do prowadzenia jedynego konia, wychudłej, wymęczonej i kulawej szkapy, która na grzbiecie miała kilka worów, a na przednich nogach poranionych skrwawione szmaty.

Kozieł, klęcząc pod krzakiem, przywiązywał konia i bezustannie mówił coś trwożnym i stłumionym głosem do żołnierza, rozciągniętego na śniegu z ośmnastostopową włócznią, rzuconą w poprzek ciała.

— Jesteście z tej samej parafii i uczciwy z was parobek, to i lżej mi na sercu, kiedy przegadam do was — szeptał. — Nie pamiętacie, jak to mówił do nas w kościele Jesper Cruus zeszłej niedzieli? Przedewszystkiem, chłopcy, mówił, nie powinniście nigdy robić niczego takiego, co w sercach waszych sprzeciwia się waszemu sumieniu i przykazaniom boskim.

— To samo i ja ci powiadam — odparł tamten szorstko. — Jeżeli bez skrupułów chcesz być w zgodzie z własnem sumieniem, powinieneś bez szemrania robić, co ci każe podchorąży. A teraz odpocznij sobie, chłopie, bo skoro tylko odsapniemy, zobaczysz, jak szwedzcy żołnierze umieją palić wsi jutlandzkie—ot tamte, w dole pójdą z dymem.

— Sumienie moje ostrzega mnie i mówi, że to ciężki grzech napadać i zabijać biednych, bezbronnych chłopów, którzy nam nic nie zawinili. Mamże być nieposłuszny swojemu sumieniu i słowom boskim w mojem sercu wypisanym, a pójść za głosem podchorążego, brzmiącym mi tylko w uszach?

Żołnierz spojrzał na kozła oblanego żółtym blaskiem gasnącego wióra: nie był on rosły, przeciwnie szczupły i wątły a jego jego lniane włosy gładkie były, jak u kobiety. Twarz miał podłużną, o błyszczących, szarych oczach, biegających niespokojnie; rzadkie, podkręcone w górę wąsy, okalając cienkie wargi, nadawały jego miękim rysom nieco zuchwałości.

— Kto na wojnie niema ochoty słuchać, musi przypłacić to życiem — odpowiedział żołnierz. — Rznąć Jutlandczyków ma być taką samą przyjemnością, jak chodzić do spowiedzi. Powiadają, nie wiem, czy to prawda, że gdy się z nich zabitych zdejmie odzienie, to się widzi, że nie są, jak inni mężczyzni i kobiety. Nie widziałeś to, jak mówią Duńczycy? Wysuwają podbródek naprzód i ruszają gębą, jak stara baba.

— Dajcie im ta spokój. Widzicie to ciemne, co hań wyłazi nad śniegiem, z drugiej strony potoka? Tam wieśniacy składają swoje drzewo na opał. Pamiętacie, że pobiłem się z drugim chłopakiem na noże i płatnałem go na śmierć, a potem całe trzy lata musiałem się tułać po lasach? Jednej mroźnej nocki w zimie ległem bez sił przy onym stosie drzewa. Nazajutrz raniuśko przyszły dwie duńskie kobiety po paliwo. Jedna z nich chciała mnie już zdzielić polanem przez łeb i zwołać chłopów, ale druga prosiła, żeby mi dała spokój. Napatrzyłem się im wtedy, jak kręcą ryjem. Obie mają synów na wojnie, mówiły — a skoro okażą miłosierdzie nad Szwedem, może Pan Bóg będzie je strzegł i ocali im synów. Koło południa przyniosła mi starowina chleba, mleka i ten kaftan

temu także i kwestyą austryacko-włoską. Włosi roszczą sobie pretensye do t. zw. Albanii włoskiej, z czasów panowania weneckiego, której granic najlepszy nawet Włoch nie określi, ale na którą najgorszy nawet Włoch nabrał przy ogniu bałkańskim apetytu. Tak rozszerzony widnokrąg nie daje Austryi nic kojącego: przeciwnie, zwiększa jeszcze brzemię tej przyjaźni, do której Włosi wnoszą ze swej strony nienawiść i pożądliwość. Austrya skrępowana przez Rosyę, przez same ludy bałkańskie, które jej nienawidzą i radeby ją co prędzej wyrzucić z Bośni, znajduje się nagle w niewoli żądz włoskich, musi się z niemi liczyć, musi z niemi walczyć, musi się im jak wąż wywijać: i taką też niezawodnie była rola p. Gołuchowskiego w Wenecyi. Powtórzono sobie zaręczenia przeszłoroczne, równie nieszczerze i pod przymusem, jak w roku zeszłym; rozjechano się ze wzajemną podejrzliwością — i wszystko pozostało, jak było w tym osobliwym stosunku przymierza, karmionego z jednej strony trwogą, z drugiej chciwością. Prawdopodobnie już po za obrębem tego małżeństwa z rozkazu zajęto się ogólną sprawą bałkańską i, jak twierdzi korespondent *Timesa*, rozważano możliwość ustanowienia nowej opieki nad Macedonią na miejsce dotychczasowej austryacko-rosyjskiej. Stać się to mogło za podmuchem Anglii, której ministrowie podczas rozpraw nad adresem w lutym r. b. zapowiedzieli jakąś inicyatywę angielską na półwyspie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wstrzymanie ruchu wymiennego i wytwórczego w Warszawie opóźniło wiadomości. Nie dochodzą dzienniki zagraniczne, doszłych nie było gdzie czytać, a dziennikarstwo warszawskie zostało znowu skazanem na kilka dni bezrobocia tak przy kałamarzu, jak przy kaszcie. Wiadomości, które podajemy, nie sięgają po za 30 kwietnia. W tej dacie adm. Rożestwienskij od czterech dni już był wreszcie opuścił zatokę Kamranh. Słusznie powątpiewano tu o stanowczości pierwszego pożegnania się z przystanią francuską już w d. 22 z. m. Jest ona tak znakomitą i tak wielkie oddała admirałowi przysługi, że zachwycony nią, zdziwił się dlaczego Francya nie zamienia jej w drugi Hong-Kong. Dokąd popłynął? Według jednych, pod Hainan chiński, według drugich, wprost przeciwnie, ku Singapore, a są i trzeci, wróżący jego ukazanie się u wysp Filipińskich. Zupełna mistyfikacya powtórzyła się nad ciekawością świata w doniesieniach o t. zw. trzeciej eskadrze morza Bałtyckiego pod adm. Niebogatowem. To już się połączył, to popłynął z cieśniny Malakki, to połączy się lada dzień na pełnem morzu i cała już wielka flota poszybuje wprost ku Formozie i Peskadorom. Jest jej już dużo: trzydzieści trzy wielkie okręty. Ciągnione na złotym arkanie węglowce i przewozowce niemieckie, dając z siebie pomoc niezbędną, tem samem potęgują siły samej floty rosyjskiej. Prócz tego donajął sobie admirał wilków morskich wszelkich narodowości, języka, mowy i oczywiście, konduity. Wniosą oni na pokłady rosyjskie żywioł wprawy i doświadczenia, ale nie wzmocnią karności. Tylko nadzwyczajna surowość admirała wilków tych poskromić zdoła. Właściwej załogi miało być przed dwoma tygodniami 17000 — nie zawiele na 33 okręty wielkie, prócz 20 pomniejszych.

Na lądzie są ze źródeł rosyjskich doniesienia o ustępowaniu Japończyków. Bardzo być może, iż gen. Liniewicz nie myli się tak, jak się mylił gen. Kuropatkin, który metodycznie donosił tylko wciąż bądź o bojach pomyślnych, bądź o napadach odpartych, a kiedy z tych czynników dodatnich powstawała w końcu suma ujemna, i wtedy jeszcze nie tracił rezonu i prawił o „ustępowaniu na z góry obrane pozycye". Rzeczywiście na linii Czang-tu-fu i Kai-ju-jen i jej przedłużeniu wschodniem Japończycy trzymają się tylko odpornie z ogniskiem strategicznem w Tie-lingu. Podobno przybyło im 13 dywizyi, a siły ich mają być podniesione w krótkim czasie do 600 — 650 tys.; są to jednak tylko pogłoski i pragnienia. Niema też wagi faktu treść telegramu angielskiego o wysłaniu dwu korpusów dla objeścia prawego skrzydła rosyjskiego — „prawego" przy kierunku ku Charbinowi. Gen. Meckel rozmawiał z *Matinem*. Były instruktor armii japońskiej ze sprawiedliwą dumą mówił o swych pojętnych uczniach, a najbardziej w nich chwalił—sztukę umierania, która zawsze rozstrzygać będzie o życiu dziejowem narodów. Zdaje się nawet, że to życie, o ile organizuje siłę wspólną i zapewnia zbożne jej zużytkowanie, całe jest tylko wynikiem i wypadkową trudu i poświęcenia jednostek. Japończycy bez rozumowania prawdę tę pojęli i w energię swą wcielili. Dla Japończyków wojna jest rdzennie narodową, a jak najgłębiej polityczną. Usadowienie się Rosyi w Mandżuryi i na Korei strąciłoby ich na padół trzeciorzędnego mocarstwa. Samo nawet *Nowoje Wremia* nie zawahało się niedawno powiedzieć, że dla Rosyi ta wojna jest tylko kolonialną. W rzeczywistości ona nawet i tego nie ma za sobą. Sto lat jeszcze upłynie, zanim Rosya dokona u siebie kolonizacyi wewnętrznej i spełni względem siebie nad wszystkiemi innemi górujący obowiązek — wewnętrznego cywilizacyjnego i politycznego rozwoju. Jej rozprężliwość nazewnątrz jest tylko żywiołowem odtwarzaniem dziejowego typu jej energii — ustawicznych podbojów.

Cesarz Wilhelm dolał wody do wina. Posłał Tattenbacha do Fezu; ale bez żadnych poleceń umyślnych, z jednym tylko nakazem podziękowania za uprzejme przywitanie w Tangerze. Wielbiciel prawa, sprawiedliwości—i Hohenzollernów chce się teraz oprzeć na konwencyi madryckiej z r. 1880, aby nią zwalić ugodę angielsko-francuską, ale i z taką powściągliwą już muzyką jeszcze się nie kwapi. Porozumienie się obu mocarstw z kwietnia 1904 r. ostudziło zapały. Wracając teraz ze swej podróży d. 29 z. m. Edward VII wstąpił do Paryża i znowu się widział z Loubetem: między ogrodnikiem z Montelimar a władcą angielskim zawiązała się pewna zażyłość, równolegle zaś z nią biegnie i polityka zgodna obu państw. P. Delcassé zaraz po przyjeździe p. Loubeta d. 30 z. m. pośpieszył do niego—z dymisyą? po instrukcye? z radami? Najlepszą byłaby pierwsza. Niezawodnie obaj zwierzchnicy władzy wykonawczej rozmawiali i o zatoce kochinchińskiej, tak miłej adm. Rożestwienskiemu.

---

z cielęcej skóry, co go dotąd noszę. Postawiła mnie na nogi. W tej tam chacie na lewo mieszkają; więc jakże bym ja mógł przyłożyć rękę do podpalenia tego, co jest jedynem ich dobrem na świecie? Alboż nie napisano w Piśmie świętem?....

— No, nie chcę już słuchać więcej! — zawołał tamten, ziewając. Przyszło mu na myśl, jaki to jednak dziwny chłop był zawsze z tego kozła. Dziki był i niepohamowany jako wyrostek, kiedy się z drugim bił na noże, ale po tej tułaczce wrócił zupełnie inny. Czytać nie umiał, ale tak uważnie słuchał w kościele i tak często rozmawiał z księżmi, że znał pełno wyjątków z Pisma świętego i przypowieści. Nikt nie był tak pewny słów i melodyi psalmu, jak kozieł. Poprzedniej nocy podpalili jakąś zagrodę chłopską a gospodarza za nogi powiesili w kominie nad ogniskiem. Kozieł przez cały czas kręcił się między nimi i wciąż im kładł w uszy słowa Pisma świętego, aż go kilku porządnie obiło, aby im wreszcie dał spokój.

Żołnierz przechodził sobie to wszystko myślą i wśród tego zasnął.

W chwilę później obudził się, bo ktoś go szarpnął za ramię, i w jasnym blasku nocy ujrzał chudą postać kozła, pochylającego się nad nim. Zły, pchnął go obcasem ciężkiego buta, łając:

— Mógłbyś też przecie raz stulić gębę i dać mi spać.

Kozieł odszedł kilka kroków, jakby się ociągał i znów przystanął. W końcu zniknął w ciemności, mrucząc:

— A więc niech się stanie w imię Boga!

Żołnierz zasypiał powtórnie, gdy usłyszał krzyk.

Wszyscy się zerwali. Łuna ogniowa gorzała na śniegu; z drugiej strony zamarzniętej rzeki, na odległość strzału stał w płomieniach stos drzewa. Kozieł bez czapki, z włosami rozwianemi, biegał pośród iskier i płomieni, przewracając i zgarniając głownie, aby ogień rozjaśnić. Cień jego kładł się na śnieżnej powierzchni, jak kawałek czarnej materyi.

Żołnierze brudni, nieogoleni, w podartych kurtkach skórzanych stali w lesie na wzgórzu, a blask ognia lśnił w ich hełmach, pikach i muszkietach.

Podchorąży, krępy chłop z długimi wąsami i głęboką blizną w poprzek nosa, rzekł do kozła, którego przyprowadzono.

— Czyś oszalał chłopcze, co ci się stało? Jest nas zaledwie dziesięciu, więc tylko niespodziewanym napadem mogliśmy wziąć wieś. A ty zbudziłeś Jutlandczyków swojem ogniskiem. Ot, wyją już w swoje trąby! I dzwon kościelny poczyna huczeć! Coś ty narobił!

— Mój dom rodzinny jest stąd o dwie mile—odrzekł kozieł—a choć kamień, który stoi tam w lesie na górze nazywa się granicznym, nie mogę zapomnieć, że ci biedni chłopi są tak samo ludźmi, jak my. Chciałem ostrzedz Jutlandczyków, dla tego podpaliłem stos drzewa. Bo napisano w Piśmie świętem.

— Słowa Pisma świętego a wojna — to dwie różne rzeczy, jak się o tem wkrótce przekonasz. Zdrajców prędko się pozbywamy. Chodźcie tu dwaj muszkieterzy i pomóżcie mu przeprawić się do kraju, gdzie rządzą słowa Biblii.

Dwóch żołnierzy wystąpiło. Wbili oni mocno w śnieg długie, żelazne, sztaby, których używają, jako podstawy do muszkietów. Z tyłu stanął trzeci. usiłując zapalić lont krzesiwem i klął, gdyż mu się nie wiodło.

Kozieł stanął w blasku płonącego ogniska. Lewą nogę wysunął nieco naprzód, głowę z bujnymi włosami odrzucił w tył, ręce zacisnął mocno. Głownia padła tuż obok niego i oświetliła mu twarz, której błyszczące oczy patrzały w żołnierzy z wyrazem prawie nieziemskim. Tak czekał śmierci. Na chwilę podniósł rękę, aby się poskrobać. Głuchą ciszę przerwały dwa strzały.

Kozieł zwalił się z nóg, ale nim głowa mu opadła i włosy poczęły się palić, wsparłszy się na łokciu, zawołał z nieugiętym uporem:

— A przecież głos sumienia jest w nas silniejszy od słów podchorążego!

Na to jeden z muszkieterów odpowiedział drwiąco z głośnym śmiechem:

— Nie możesz zrozumieć, że gdyby wszyscy tak mówili niemożliwe byłoby prowadzenie wojny!

Echo poniosło te słowa poprzez śniegiem przysypane wąwozy górskie, a łuna ogniowa zaróżowiła zimowe niebo szesnastego stulecia.

Ze szwedz. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

Kreteńczyków biją już wojska opiekuńcze, ale i oni zabijają żołnierzy i żandarmów. Konsulowie, w arcy-smutnej roli napędzaczy pod jarzmo, choćby tylko ks. Jerzego, ogłaszają groźne proklamacye, wysyłają mężów dobrej rady, wzmacniają załogi i pchają je na urwiska Sfakii. Wyborna sposobność dla Anglii do uznania faktu połączenia się z Grecyą. Zresztą proklamacya Kreteńczyków jest tak roztropną, że t. zw. prawo publiczne Europy nie potrzebuje obawiać się najmniejszego gwałtu. Chodzi tylko o to, aby żywe prawo człowieka miało przyznaną sobie wyższość nad papierowe — dyplomaty.

ŻYCIE SPOŁECZNE

1 MAJA.

Dzieje dnia tego *Warsz. Dniewnik* opowiada w następujący sposób: Około 11 rano stójkowy na rogu Chłodnej i Wroniej zauważył mężczyznę rozdającego proklamacye i chciał go aresztować. Wówczas z tłumu padły dwa strzały rewolwerowe, które chybiły policyanta, ale natomiast żołnierz stojący pod koszarami zastrzelił rozdającego proklamacye. Zabity, jak się okazało, był dawnym uczniem szkoły technicznej Wawelberga, 19-letnim Karolem Szonertem. Przy nim znaleziono proklamacye i rewolwer.

O 12-ej na Karmelickiej i Nowolipkach zebrało się około 200 osób. Powiał czerwony sztandar. Tłum doszedł do domu pod Nr. 22 w ulicy Karmelickiej. Dwaj policyanci usiłowali przywrócić porządek, lecz kilku ludzi z tłumu rzuciło się na nich z nożami; wówczas oni zaczęli strzelać i tłum się rozproszył.

O 1-ej po południu manifestanci w liczbie około 2000 zebrali się na ulicy Śliskiej i z czerwonym sztandarem przeszli na Złotą a potem przez Żelazną wkroczyli w Aleje Jerozolimskie. Tu około domu Nr. 101 spotkali się z policyantami i wojskiem. Na wezwanie, żeby się rozeszli, z tłumu padł strzał; poczem tłum wyłamał bramę i wtargnął wewnątrz domu Nr. 101. Żołnierze i policya odpowiadali wystrzałami; poczem tłum się rozproszył, zostawiając na placu 25 zabitych i 20 ranionych. Około 50 osób aresztowano i zabrano 3 czerwone sztandary.

O godzinie 5½ nad wieczorem na ulicy Długiej tłum gwizdaniem i rzucaniem kamieni przyjął przechodzącego oficera. Nadjeżdżający patrol konny rozproszył zebranych z rozkazu tegoż oficera. W tymże czasie na ulicy Okopowej między Kaczą a Żytnią zebrało się około 300 osób z 3-ma czerwonymi sztandarami. Rozproszyła ich policya i nadchodzący patrol.

Około 6-ej kilkaset osób zgromadziło się na Złotej, a potem na Marszałkowskiej. Niektórzy z tłumu probowali zagrodzić ulicę beczkami pozostałymi, od robót brukowych i przygotowanymi dla umieszczenia słupami telefonicznymi. Rozproszono ich jednak, lecz wkrótce zebrali się znowu w ulicy Zielnej, tu zaś rozbiegli się na widok wojska. Około 7-ej na ulicy Dzielnej tłum, postępujący z czerwonym sztandarem, zmuszał policyantów do zdjęcia czapek. Po ukazaniu się kozaków, z tłumu padł strzał, lecz nikogo nie ranił, poczem wszystko rozproszyło się.

O godzinie 8 minut 25 wieczorem na ulicy Marszałkowskiej, naprzeciw bramy dworca wiedeńskiego rzucono bombę w przejeżdżający patrol 5 kozaków pułku uralskiego. Raniono 3 kozaków, 1 stójkowego i wychodzących w owej chwili z podwórza dworca: nauczycielkę muzyki Stefanię Kowalską oraz szwaczkę Julię Koperską. Obie ciężko, a także jednego kozaka. Padły trzy konie kozackie. Aresztowano cztery osoby podejrzane. Siła wybuchu była tak wielka, że wyleciały wszystkie szyby w oknach sąsiednich domów. Część łba końskiego padła na ulicy Widok, u bramy hotelu wiedeńskiego. Prócz tego 3 osoby, przechodzące ulicą Marszałkowską, uległy lekkiemu poranieniu.

Około 10-ej wieczorem w ulicy Ząbkowskiej, na Pradze, przy rządowym składzie wódki zebrał się tłum, który usiłował wtargnąć do wnętrza, strzelając do straży i raniąc dwóch, wówczas żołnierze, pilnujący składu, dali salwę, po której tłum się rozproszył, zostawiając cztery trupy. Noc przeszła spokojnie.

W ciągu dnia przy starciu z wojskiem zginęło: w Alejach Jerozolimskich 25 ludzi, na Chłodnej—1 i na Pradze 4. Ogółem zabito 31.

LISTY GALICYJSKIE.

Ewolucya przekonaniowa nauczycieli ludowych. — Tajny okólnik namiestnictwa. — Zgromadzenie nauczycieli krakowskich. — Sprawa prywatnego gimnazyum żeńskiego w Krakowie. — Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych. — Objawy samopomocy włościańskiej.

Wspomniałem już w jednym z poprzednich listów o charakterystycznej ewolucyi przekonań w łonie nauczycielstwa ludowego, które widząc, że dotychczasowy system petycyonowania i próśb uniżonych nie odnosi żadnego skutku, postanowiło jąć się innych sposobów. Znaczna część zrozumiała, że poprawa ich bytu bardzo a bardzo mało obchodzi panującą w Galicyi klikę stańczykowską, dla której nauczyciele wraz z całem zresztą szkolnictwem ludowem są jedynie źródłem demoralizacyi ludu. Chłop, który przeszedł szkołę, posiada już taki zasób wiedzy elementarnej, że garnie się do gazetek ludowych i pod ich wpływem przestaje ulegać bezmyślnie „obszarnikowi". To też agraryusze galicyjscy jednakowo mało dbają i o oświatę ludową i o jej nauczycieli. Zwrot nauczycielstwa w kierunku opozycyjnym, zaznaczający się nie od wczoraj, niepokoił bardzo obóz stańczykowski. A już prawdziwą panikę wywołała uchwała zjazdu nauczycieli ludowych we Lwowie (w lipcu roku ubiegłego), żądająca jednomyślnie założenia politycznej organizacyi tego stanu, aby drogą walki wyborczej przyczynić się do zwycięztwa takich żywiołów, które nie będą ignorowały słusznych domagań się nauczycieli ludowych — tych „białych murzynów" i „głodomorów", jak ich prasa opozycyjna nazywa.

Istotnie uchwała zjazdu lwowskiego mogła zaniepokoić sfery stańczykowskie. Zrozumiemy dlaczego, gdy przyjrzymy się, czem dotychczas w większości wypadków był po wsiach galicyjskich nauczyciel ludowy. Uposażony nad wyraz nędznie, postawiony on jest w takich warunkach, że nieznaczny awans lub przeniesienie na lepsze miejsce staje się dla niego nieraz kwestyą bytu. A to wszystko zależy od dobrej woli i łaski inspektora, będącego narzędziem w ręku kliki panującej. Narażenie się inspektorowi pociąga za sobą napomnienie, lub inną karę dyscyplinarną, pominięcie w awansie, czy wreszcie przeniesienie gdzieś do zapadłej wioski górskiej. To też nauczyciel ludowy, staje się wskutek tego pionkiem, posłusznym rozkazom i przy wszelkich wyborach odgrywa smutną rolę zaganiacza stańczykowskiego. Zaniedbuje on często swe obowiązki i jeździ po powiecie lub występuje na zgromadzeniach jako agitator kliki rządowej, zarabiając w ten sposób na łaskę władz szkolnych, prowadzącą do awansu. Szerzący się tą drogą serwilizm w kołach nauczycielskich zraża do nich budzącą się do nowego życia masę chłopską i wytwarza antagonizm, dokliwie odbijający się na wzajemnem pożyciu nauczyciela i chłopów, których dzieci uczy w szkole. Tam, gdzie nauczyciel, rezygnując z karyery, nie daje się wprządz w jarzmo służalczości, zajmuje on stanowisko obojętnego z musu — widza, choć mógłby być bardzo pomocnym ludowi, gdyby chciał wziąć czynny udział w jego walce ze stańczykami. Stąd wielka strata dla ruchu ludowego.

Stańczycy rozumieją doskonale, że w razie, gdyby obojętni nauczyciele ludowi poparli czynnie chłopów swą radą, doświadczeniem, a nauczyciele-służalcy bodaj przestali wysługiwać się obszarnikom, tym ostatnim ubyłoby dużo sił żywotnych. To też uchwała zjazdu lwowskiego pobudziła ich do czynu. Dziennik rusiński „Diło" i opozycyjna „Gazeta Szkolna" wykryły, że w końcu lutego r. b. namiestnictwo wydało poufny okólnik do starostów i komend żandarmeryi, polecający im baczne dozorowanie nauczycieli, zwłaszcza młodszych, ażeby w razie wykrycia udziału ich w ruchu opozycyjnym władze szkolne mogły zastosować do nich odpowiednie środki. Odkrycie pism wyżej wzmiankowanych sprawiło wielkie wrażenie. Początkowo nie chciano wierzyć, aby się namiestnik odważył na takie niesłychane w państwie konstytucyjnem krępowanie obywateli, chcących korzystać z praw, przysługujących im na mocy ustawy zasadniczej. Ale wkrótce urzędowa „Gazeta Lwowska," przyparta do muru, musiała przyznać, że taki okólnik istotnie został wydany.

Organ urzędowy stwierdza, że zawiera on ustęp: „należy *czujnością* otoczyć przedewszystkiem młode siły nauczycielskie, które brak doświadczenia i nieopatrzność mogłyby popchnąć na zgubną drogę... i chronić je od wykolejenia," a zarazem nawołuje do *energicznego* działania zapobiegawczego.

W kołach nauczycielstwa okólnik wywołał wielkie wzburzenie, co prawdopodobnie przyspieszy ostateczne skrystalizowanie się opozycyjnej organizacyi nauczycieli, będącej obecnie w toku.

Zanim to jednak nastąpi ruszają się poszczególne grupy nauczycielstwa ludowego. Świeżo np. odbyło się walne zgromadzenie członków Towarzystwa nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych krakowskich. Omawiano zbliżające się wybory do rady miejskiej Krakowa, przyczem stwierdzono, że na liście wyborców z koła inteligencyi tendencyjnie został opuszczony znaczny procent nauczycielstwa tymczasowego, które musiało za pomocą wniesienia reklamacyi dobijać się o swe prawo.

Długą dyskusyę wywołała aktualna sprawa organizacyi politycznej nauczycielstwa oraz środków, jakich ma ono użyć przed tegoroczną seryą sejmu lwowskiego, ażeby przełamać nieprzychylne stanowisko większości sejmowej wobec żądań i potrzeb nauczycieli. Omawiono przytem i okólnik namiestnictwa, o którym pisałem wyżej. Potrzebę organizacyi uznawali wszyscy, widząc w niej jedyny środek zmuszenia sejmu do liczenia się z żądaniami nauczycielstwa. Ponieważ ono postępuje dotąd zbyt niejednolicie, przeto postanowiono ułożyć

program, któryby skierował wszystkie wysiłki do jednego łożyska i nadał im charakter wspólnej organizacyi planowej. Uchwalono też wybranie komisyi, która ma się zająć stanowiskiem krakowskiego nauczycielstwa ludowego wobec wyborów do rady miejskiej.

Podobnie dzieje się i wśród lwowskiego nauczycielstwa ludowego. Jest nadzieje, że mur serwilizmu, odgradzający nauczycieli ludowych od stronnictw opozycyjnych, zostanie wreszcie przełamany i że te stronnictwa pozyskają w nauczycielach pożądanego i czynnego sojusznika w walce z reakcyą stańczykowską.

Swieżo reakcya ta obrała za cel swych ataków prywatne gimnazyum żeńskie, istniejące w Krakowie od r. 1896 a założone przez specyalne stowarzyszenie, opiekujące się i zawiadujące tym pożytecznym zakładem naukowym. Widząc, że szkoła ta rozwija się z wielkim pożytkiem, zdobywając sobie popularność w szerokich kołach społeczeństwa, klika konserwatywna postanowiła zagarnąć ją w swe ręce. W tym celu postarano się o sztuczną większość na wolnem zgromadzeniu „Towarzystwa żeńskiej szkoły gimnazyalnej" i usunięto z jego zarządu najenergiczniejsze i najbardziej zasłużono dla sprawy jednostki, w tej liczbie i takie które, jak np. p. Bujwidowa, od samego początku do zarządu należały.

Atak został wykonany sprężyście, ale popełniono taka nieformalność ustawową, która czyniła nowe wybory zarządu nieważnymi. Na ponownem zaś wolnem zgromadzeniu żywioły, które nie chciały narazić gimnazyum na sklerykalizowanie, znalazły się w znacznej większości i przeprowadziły wybory całkiem nie pomyśli reakcyonistów. W dodatku zgrzybiałego dyrektora gimnazyum, Trzaskowskiego, który dał się powodować stańczykierji, usunięto, nadając mu godność członka honorowego.

To niepowodzenie reakcyonistów w łonie stowarzyszenia kazało im przenieść swe ataki na łamy prasy i oto w „Czasie" ukazał się denuncyatorski artykuł, zamierzający przestraszyć rodziców dziewcząt, kształcących się w gimnazyum. „Czas" odmalował to ostatnie, jako siedlisko bezbożności, wszelkiego rodzaju radykalizmu itp. okropności, zapewniając przytem, że władze szkolne zwróciły uwagę na panujące w niem porządki i cofnęły mu prawo publiczności. Całą winę wprowadzenia gimnazyum żeńskiego na „zgubne" tory „Czas" przypisał nauczycielkom, które zdobyły dyplomy i stopnie naukowe w Szwajcaryi lub przybyły do Krakowa z Warszawy. Wystąpienie „Czasu" spotkało się z energicznem odparciem zainteresowanych, którzy udowodnili mu szereg kłamstw.

Walka o gimnazyum wrze w dalszym ciągu, ale należy się spodziewać, że klice reakcyonistów nie uda się już przekształcić tego zakładu na siedlisko bigoteryi i ogłupienia.

Takiem wyjątkowem powodzeniem cieszące się w roku ubiegłym (a w pierwszym swego istnienia) „Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych" w Zakopanem świeżo ogłosiło swój program na rok bieżący. Zamiast dwoch seryi, jak poprzednio, będą zorganizowane trzy serye dwutygodniowe—od 16-go lipca do 26-go sierpnia. Zaproszono też cały szereg nowych prelegentów, wśród których nie brak imion chlubnie znanych w nauce polskiej. Z ciekawszych wykładów należy wymienić: L. Krzywickiego—„Etnologia polska a historya w zastosowaniu do początków Polski"; K. Krauza—„Materyalizm dzisiejszy"; W. Jodki—„Demokracya w nowoczesnem prawie państwowem"; A. Kryńskiego—„O rozwoju języka polskiego"; W. Nałkowskiego—„Zasady geografii ogólnej jako wstęp do geografii Polski" it.d. Podobno pierwotnie, kiedy stwierdzono, że Zakopane, stanowiące dotychczas „stan posiadania demokratów narodowych, nagle, głównie dzięki „kursom wakacyjnym" wymknęło się calkowicie z ich rąk, narodowi demokraci planowali założenie instytucyi konkurencyjnej w samem Zakopanem albo w jakiemś innem uzdrowisku galicyjskim. O planie tym jednak i dziś nic nie słychać.

Kwestya stworzenia w Galicyi przemysłu fabrycznego nie przestaje zajmować ludzi dażących do rozwoju ekonomicznego kraju. Oto np. zasłużony działacz dr. Fr. Stefczyk, który położył niemałe zasługi dla kółek rolniczych, rzuca projekt skierowania kapitałów chłopskich do tworzenia i prowadzenia fabryk, ściśle związanych z gospodarstwem włościańskiem. Obecnie w powiatowych kasach oszczędności, w towarzystwach zaliczkowych, wreszcie w kasach Raiffeisena leżą miliony pieniędzy chłopskich, szukających zużytkowania i niezawsze je znajdujących. W niektórych jest po kilkadziesiąt tysięcy koron, nie znajdujących zużytkowania w okręgach swej działalności. Te kapitały włościańskie rzucają się becnie prawie wyłącznie na kupno ziemi i podbijają jej cenę do bajecznej wysokości, wytwarzając wprost stosunki niezdrowe.

Że zwrócenie kapitałów chłopskich w innym kierunku jest możliwe, na to dr. Stefczyk znajduje dowód w działalności gospodarzy w Albigowie—ludnej gminie powiatu łańcuckiego. Dzięki energii, rzutności i przedsiebiorczości jednostki—miejscowego proboszcza ks. Antoniego Tyczyńskiego—w Albigowie mamy do czynienia z bardzo ciekawymi objawami samopomocy chłopskiej. Przed 19 laty, kiedy ksiądz Tyczyński przybył do Albigowy, była to wieś uboga z ludnością zaniedbaną pod każdym względem. Obecnie posiada ona czteroklasową szkołę w nowym, obszernym budynku partero wym, kółko rolnicze, należące do najczynniejszych w kraju, kasę raiffeisenowską o 107,000 koron obrotu i kilkadziesięciu tysiącach wkładek oszczędności, jedną ze znaczniejszych w kraju mleczarń zbiorowych, szkołę koszykarską, będącą zarazem przedsiebiorstwem, zatrudniającem 50 uczniów i robotników w osobnym budynku parterowym; jedyną w swoim rodzaju szkołę gospodyń wiejskich, przenoszącą się obecnie do nowego gmachu piętrowego. Stan rolnictwa w Albigowie podniósł się stosunkowo bardzo wysoko i ludność zupełnie inaczej dziś pracuje na roli oraz obchodzi się z inwentarzem, niż przed laty kilkunastu. W Albigowie powstała największa dotychczas w Galicyi chłopska „spółka wodna" celem zdrenowania około 2,600 morgów ziemi, co naprowadziło ks. Tyczyńskiego i jego parafian na myśl założenia własnej cegielni do wyrabiania rurek drenerskich, dachówek i cegły. Sama bowiem „spółka wodna" spotrzebuje 3,000,000 rurek, a ludność Albigowa woli dziś budować domy z cegły i kryć je materyałem ogniotrwałym. Ażeby zaś zużytkować w zimie motor parowy, obsługujący w lecie cegielnię, postanowiono urządzić do mielenia zboża młyn, którego brak daje się we znaki miejscowej i pobliskiej ludności. W tym celu powstała pod patronatem Wydziału krajowego „Spółka przemysłowo rolnicza", do której przystąpiło w charakterze członków około 200 chłopów. Jakkolwiek dla ułatwienia przystąpienia do „Spółki", najniższy udział ustanowiono na 2 korony, to jednak mało kto z włościan deklarował mniej niż 20 koron, a znaczna część po 50 — 200 koron. Przedsiebiorstwo to ma wszelkie widoki powodzenia i dr. Stefczyk wita je, jako symbol nowego ruchu ekonomicznego wśród włościan. Jak kółka rolnicze powołały do życia ruch handlowy po wsiach i miasteczkach i oparły się na nowych podstawach tak, zdaniem d-ra Stefczyka spółki w rodzaju albigowskiej wywołują prąd ludowego uprzemysłowienia kraju. Czy dr. Stefczyk nie przesadza w swym optymizmie, pokaże już blizka chyba przyszłość.

Daleki.

Listy z Francyi.

Napaści na paryską giełdę pracy. — Lock-aut fabrykantów w Limoges. — Zadania i rozwój francuskich syndykatów robotniczych.

Wsteczne pisma gadzinowe, jak „Patrie" i „Libre parole", również liberalno - burżuazyjne dzienniki „Temps" i „Liberté" miały niedawno obfity żer z powodu interpelacyi w Radzie miejskiej nacyonalisty F. Roussel'a co do kradzieży, bójek i zdrożnych scen w paryskiej giełdzie pracy. Można się spodziewać, że nasze pisma przedrukują żywcem artykuł z „Temps" p. t. „Les gaietés de la Bourse du Travail", a nasi paryscy korespondenci tryumfować będą, że mieli racyę ignorować dotychczas lub obryzgiwać błotem tę tak mało u nas znaną instytucyę.

Smutno teraz i ciężko rozmawiać zdala z rodakami, skoroby się chciało zblizka pomódz im radą i czynem. Obowiązek to jednak wziąć pióro do ręki, aby przedstawić rzecz całą we właściwem świetle i w imię prawdy bronić paryskiej giełdy pracy, której bieg życia śledzimy od lat piętnastu i stanowczo twierdzić możemy, że toruje ona ścieżki lepszej przyszłości dla świata pracującego.

W ostatniem dziesięcioleciu, a zwłaszcza w latach ostatnich życie w niej wrze w całej pełni. Zamiast 140 syndykatów zawodowych, jak to było w 1894 r. zawiera ona około 500; lokal okazał się za małym, trzeba więc było w jednem biurze pomieścić trzy, cztery, a nawet pięć syndykatów. Po nadto mają tam swe siedlisko redakcye i administracye różnych pism fachowych, jakoteż tygodnika „La voix du peuple," głównego organu ogólnego Związku robotniczego (Confederation générale du Travail). Co wieczór odbywają się zebrania zawodowe, oraz wykłady teoretyczne z różnych gałęzi pracy, co tydzień zaś — odczyty lub pogadanki treści ogólniejszej z dziedziny hygieny lub prawodawstwa robotniczego. Nierzadko też bywają w wielkiej Salle des fêtes uroczyste zebrania tłumne, czy to z powodu branki, czy też obchodu jakiej pamiętnej rocznicy. Tam podąża każdy nieco rozwinięty robotnik, aby zasięgnąć rady i szukać pracy; o każdej niemal porze dnia a nieraz i po północy — stosownie do rodzaju zajęcia — znaleźć tam można obradujących robotników. Wrota giełdy dla wszystkich zawsze otwarte, na wszelkie wiece, koncerta i przedstawienia każdy wejść może bezpłatnie i bez żadnej legitymacyi. To też, szczególnie po zniesieniu biur stręczenia pracy, roi się tu od rana do nocy we wszystkich salach, sieniach i korytarzach, nieraz widzieć można po kątach zgłodniałych ludzi jedzących chleb z jakąś okrasą, zmęczonych, drzemiących na ławce, lub też zajadle, krzykliwie spierających się. Administracya, nie chcąc biedakom odmawiać kąta, ani wejścia komukolwiek do giełdy, patrzyła dotychczas przez szpary na różne przekroczenia i nieporządki.

Ludzie jednak złej woli, czy to zwyrodniali, czy ogłupiali, czy też umyślnie pragnący obniżyć instytucyę coraz potężniejszą, nadużyli praw gościnności i jedni w ostatnich miesiącach jakoby dopuścili się kradzieży, drudzy zniszczenia ruchomości, a inni nawet, jak twierdzą nacyonaliści, uwa-

żali giełdę pracy za przybytek wesołości w rodzaju Folies-Bergères.

Podobne nadużycia są przy obecnych stosunkach nieuniknione, zdarzają się we wszystkich instytucyach bezpłatnych i otworem dla całego świata stojących, a szczególniej w giełdach pracy, które są solą w oku całej burżuazyi i które chciałaby ona splugawić, nasyłając im nawet rzezimieszków, opryszków i różnych alfonsów. Czyż jednak wypadki sporadyczne z oburzeniem jednogłośnie potępione przez wszystkie organizacye robotnicze, mogą w samej rzeczy obniżyć czemkolwiek podniosłość instytucyi, mogą uprawnić francuskich i polskich pismaków do jej potępienia, do uważania za ramy nierządu?

Jak robotnicy francuscy nawet na prowincyi mają wysoko rozwinięte poczucie, godności własnej i jak drogą im jest cześć towarzyszek pracy, świadczy wymownie wybuchły przed kilku dniami w Limoges strajk 12000 robotników, zatrudnionych w słynnych na cały świat fabrykach porcelany. Zatarg wynikł w fabryce o 12 piecach amerykanina Teodora Havilanda, którego nazwisko nieobce jest żadnemu amatorowi pięknej porcelany. Jakkolwiek płaca w Limoges jest nader nizką, nie chodziło w danym razie o podwyższenie zarobku, a jedynie żądano usunięcie dyrektora, którego etyka w stosunku do robotnic była oburzająca. Słuszne to żądanie nie zostało uwzględnione, robotnicy przeto zdecydowali się zaprzestać pracy. Wtedy inni fabrykanci, chcąc dowieść, że robotnicy nie mają prawa wtrącać się do wewnętrznej administracyi, okazali swą solidarność z Havilandem i ogłosili lock-aut. W obecnej chwili zatem zawiesiło pracę 24 fabryki, zawierające ogółem 95 pieców, skazując tem samem na nędzę kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Nie dość na tem, Haviland odmówił wypłaty 28,000 fr. stanowiących kapitał kasy chorych robotników, uciułany drobnemi składkami samych pracowników. A teraz liberali dziwią się, że wściekłość ogarnęła robotników, że uszkodzoną została brama pałacu Havilanda, że zniszczono jego samochód, pomimo wywieszenia amerykańskiej chorągwi, która miała w danym razie spełniać rolę obrazka częstochowskiego.

Już to, prawdę mówiąc, francuskie giełdy pracy, jak wogóle cały ruch robotniczy francuski nie cieszy się sympatyą naszej prasy nawet postępowej. Gdy o najmniejszym strajku, o nic nieznaczącym kongresie związków zawodowych w Niemczech, Belgii lub Anglii podane są szczegółowe informacye, nie wspomina się ani jednem słowem nawet w dziennikach galicyjskich o tak poważnych objawach ruchu społecznego, jak wrześniowy kongres robotniczy w Bourges, gdzie było reprezentowanych około 1800 syndykatów, jak również cała działalność Conféderation générale du Travail.

Przyczyny tego szukać należy w naszej ortodoksyjności, w rutynie, w obawie poddawania krytyce taktyki i poglądów autorytetów, uznawanych u nas za radykalnych, nieomylnych papieżów. Praktyka jednak i fakty świadczą wyraźnie, że życie nie zawsze idzie drogą wskazaną i przewidzianą przez uczonych teoretyków, że nawet Kautsky zmienił swe zapatrywanie na Grève générale i że robotnicy francuscy, bogatsi doświadczeniem, jaśniej zdają sobie sprawę ze środków, jakie w walce są skuteczniejsze. Młodsi uczeni francuscy, marksiści, nie skostnieli na ślęczeniu w gabinecie nad biblią Marksa, lecz stykając się z życiem prawdziwem, przyznają się otwarcie do zmiany poglądów i z całą energią bronią działalności i taktyki Conféderaration générale du Travail. Dość tu nam wspomnieć powszechnie znanego kierownika „Le mouvement socialiste“ H. Lagardelle'a, wykładającego od lat kilku w Collège libre des sciences sociales.

Długie lata życia parlamentarnego przekonały robotników francuskich, że żaden parlament nie dał im istotnych praw, bez energicznego z ich strony nacisku, że mogą oni uzyskać polepszenie bytu i warunków pracy, działając silnie zorganizowani wprost bezpośrednio na swych pracodawców, że próżnem złudzeniem jest liczyć na posłów, choćby najradykalniejszych. Ci ostatni pożyteczni są wielce, gdy chodzi o przedstawienie całej zgnilizny obecnego ustroju, tysiącznych nadużyć i niesprawiedliwości, ale nigdy nie mogą dotrzymać obietnic danych na zebraniach wyborczych, wywalczyć jakiegoś polepszenia doli nędzarzy. Im dłużej zostawali radcami i deputowanymi, tem łatwiej wchodzili w kompromisy z partyami burżuazyjnemi i przeniewierzali się swoim wyborcom. Świadomi robotnicy francuscy liczą dziś tylko na własne siły, a jako zasadę taktyki uznają „action directe“, dzięki której uzyskali w końcu ubiegłego roku zniesienie biur stręczenia pracy. Siła ich wciąż wzrasta, organizacya potężnieje. Do Conféderation Générale du Travail należy obecnie 52 wielkich związków przemysłowych, grupujących aż 1792 syndykaty (o 700 więcej niż w roku 1902), oraz 102 giełdy pracy. Zadaniem syndykatów tych, czyli związków zawodowych, jest przedewszystkiem ogólne uświadomienie, a obok tego walka z kapitałem. Wyzwoliły się one zupełnie z pod wpływu i kierownictwa deputowanych i radców, nie biorą udziału w walce wyborczej, ani też w kongresach partyjnych, stoją zawsze na gruncie ekonomicznym—na gruncie walki klasowej, nie zapominając naturalnie o wykształceniu integralnem i o uświadamianiu robotników.

Nie można ich bynajmniej porównywać z Trades - Unionami angielskiemi, które działalność swoją ograniczają do zdobyczy natychmiastowych, mających polepszyć dolę ich członków, bez względu na sprawę ogólnego wyzwolenia warstw pracujących i ich uświadomienia. Francuskie związki robotnicze już od lat 30-u przeszły ten okres i zetknęły się w ciągu dość długiego czasu z życiem parlamentarnem, ku czemu obecnie skierowują się Trades-Uniony. Nie starają się one również—podobnie jak związki zawodowe belgijskie — o zakładanie towarzystw wzajemnej pomocy na wypadek choroby, starości lub bezrobocia, rolę tę pozostawiając rozgałęzionym stowarzyszeniom mutualistów (Societés de secours mutuels), i wogóle nie robią szczególniejszych usiłowań dla wzbogacenia swych kas, gdyż w razie potrzeby, zawsze dzięki poczuciu solidarności robotniczej, towarzysze innych gałęzi pracy natychmiast obkładają się dobrowolnym podatkiem.

Niepodobne są też do związków zawodowych niemieckich lub austryackich, pozostających w zupełnej zależności od partyi i kierowanych wyłącznie przez tychże samych ludzi, którzy zasiadają w parlamencie, radach miejskich, czy też stoją na czele politycznych stowarzyszeń wyborczych.

Od lat niespełna dziesięciu syndykaty francuskie wyzwoliły się od wpływów guesdystów, allemanistów i jauresistów, i dzięki temu rozwinęły się w całej pełni, stały się dziś potęgą, na której wzorują się Włosi, Hiszpanie, a po części i niektóre związki Belgii i Niemiec.

Jeśli porównamy dane statystyczne, dotyczące strajków z lat ostatnich, to i one na korzyść francuskiego ruchu robotniczego przemawiać muszą. W Niemczech w ostatniem dziesięcioleciu 22 prc. strajków zakończonych zostało całkowitem powodzeniem, w Belgii tylko 15 do 18 prc. gdy we Francyi co najmniej 25 prc. W Niemczech do zobopólnych ustępstw doprowadziło 30 prc. strajków, w Belgii tylko 17 prc., a we Francyi 32 prc.

Ostatni kongres związków zawodowych, belgijskich tak się przeraził swymi wykazami statystycznemi, że przyszedł do wniosku, iż należy wszelkiemi siłami unikać strajków, a zwłaszcza zaczepnych i zalecił utworzenie „stałych rad rozjemczych“ na wzór projektowanych przez Millerenda a potępionych przez ogół robotników francuskich.

Ostatni strajk westfalski, obejmujący 230,000 górników i zakończony zupełną ich klęską pomimo olbrzymich ze wszystkich stron zasiłków pieniężnych, przekonywa nas dobitnie o błędnej taktyce robotników niemieckich, o bankructwie dotychczasowych metod, skoro tylko zadamy sobie trud bezstronnego i głębszego rozpatrzenia historyi tego wielkiego bezrobocia.

Singer, Bebel, a za nimi i nasi pseudomarksiści gotowi stawiać Francuzom za przykład strajk westfalski, gdyż tak solidarnie wszyscy robotnicy bez różnicy wyznania i uświadomienia, (wszystkie syndykaty chrześcijańskie i protestanckie) oczekiwali w spokoju składek i ofiar, z zachwytem rozczytywali się w sążnistych mowach o konieczności wykupienia przez rząd kopalni prywatnych a potem posłusznie wrócili do pracy, gdy dobroczynność ludzka okazała się wyczerpaną, ufni w obietnice reform prawodawczych, projektowanych już od lat dziesięciu.

Na przyszłym kongresie niemieccy posłowie będą znowu wyrzucać francuskiej rzeczypospolitej, że krew robotnicza się polała w kwietniu 1905 roku w Limoges, jak dawniej w Fourmies, Chalons i François, czego nie bywa nigdy w Niemczech. Czy jednak może to być dowodem większej świadomości robotników niemieckich? czy ich taktyka, a nie francuska powinna być wzorem?...

Dr. J. Zieliński.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

Dokończenie.

Naśladowanie drugich grup etnicznych pobudza do nieudolnych imitacyj pod względem organizacyjnym. Wyniosła pogarda i lekceważenie, jakie okazywane jest wychodźstwu polskiemu przez inne żywioły, powoduje zasklepienie się w sobie. Ponieważ racyą bytu dwustu księży polskich w Stanach Zjedn. jest to, że istnieje odpowiednia ilość katolików polskich, potrzebujących posług duchownych w języku polskim, przeto z obawy utraty stanowiska tamtejsi księża polscy są zmuszeni podtrzymywać ten stan rzeczy bez zmiany, a co za tem idzie polskie szkółki parafialne; choć dla przypodobania się swoim biskupom, patrzącym na nich krzywem okiem, w szkółkach tych pozostawia się tak rozległe granice dla języka angielskiego, że w bardzo wielu wypadkach, polski język wygląda na dodatkowy. Ponieważ polskie szkółki parafialne są wyznaniowe, a szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych jest niezależnem od wpływów religijnych, przeto biskupi i z tego względu jeszcze tolerują polskie szkolnictwo parafialne. Owe szkółki mają tę stronę ujemną, że obejmują nader szczupły i jednostronny zakres nauczania, a w większości wypadków są tak niezdarnie prowadzone, że dziatwę szkolną zrażają i dyskredytują naukę w jej oczach. Gdzieniegdzie władze w bardzo nielicznych wypadkach, jak np. w stanie New-York, rozciągają pewien nadzór nad temi szkołami i stawiają żądania ogólnie obowiązujące, obo-

strzenia co do kwalifikacyi nauczycieli parafialnych. Wartość tych szkółek pod względem narodowym jest ta jedynie, że przechowują one pamięć polskości, nie rozwijając uczuć narodowych lub zamiłowania do nauki. Polski język służy tam do wykładu katechizmu, przygotowania do spowiedzi, wysłuchania kazania, banalnego i ordynarnego, w dodatku najczęściej zabarwionego intrygą lub polemiką natury świeckiej. W interesie nauki i cywilizacyi byłoby pożądanem by dzieci polskie odwiedzały szkoły publiczne rządowe, w których przy zabiegliwości ze strony wychodźstwa polskiego nie trudnem byłoby uzyskać uwzględnienie polskiego języka, gdyż dziatwa polska stanowiłaby w nich większość szkolną. Czy pod względem narodowym taka zmiana byłaby korzystną, trudno orzec. Amerykańska szkoła publiczna tylko wyjątkowo uprawia drastyczną propagandę amerykanizmu szowinistycznego. Najczęściej stoi ona na stanowisku obojętnem, pomimo tego pośrednio, o ile sądzić możemy z dotychczasowych nielicznych przykładów, działa ona wynaradawiająco, gdyż robi pobyt w szkole przyjemnym, a młodzież polska rozkochana w niej, przenosi tę sympatyę na społeczeństwo. Być może, z wprowadzeniem polskiego języka do szkół początkowych amerykańskich ten mimowolny wpływ szkoły byłby zneutralizowany lub ograniczony. Przy takim jednak układzie stosunków, jedynym ratunkiem byłoby stworzenie na wychodźstwie świeckiego szkolnictwa polskiego na usługi nauki i polskiej kultury, któreby służyło jednocześnie praktycznym celom życia. Olbrzymich środków pieniężnych, potrzebnych do podźwignięcia takich instytucyi nie mamy.

Wychodźstwo polskie, które większość swych milionowych oszczędności zmarnowało na okazałe kościoły, probostwa, szkoły parafialne i na wzbogacenie kilku setek księży polskich, jest zbyt ubogie, żeby mogło dostarczyć środków materyalnych na szkołę polską tego typu; dodać też należy, że nie posiada dziś ono żadnego poczucia potrzeby tego rodzaju zakładu naukowego. Jednym z najważniejszych czynników przeciw wynaradawianiu wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych jest samowiedne powstanie wśród niego inteligencyi wychowanej przez szkoły amerykańskie, oraz powolne dźwiganie się ekonomiczne, przejawiające się w zawiązywaniu drobnych przedsiebiorstw polskich. Na tem tle niknie potulność i powstaje krytycyzm. Są to objawy ostatniej doby. Czy te siły, ochraniające wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych przeciw wynarodowieniu będą się wzmagać, czy słabnąć, czy wystarczą one do osiągnięcia choć w przybliżeniu wymarzonego celu, trudno dziś orzec. Nikt nie potrafi być w tego rodzaju rzechach prorokiem. Zapytywani o to tamtejsi bywalcy, utrzymują z całą stanowczością, że musi nastąpić wynarodowienie się polskiego wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych. Tego wewnętrznego przekonania ludzi dobrze obznajmionych z tamtejszemi stosunkami nie można uważać za zupełnie miarodajne, lekceważyć go jednak nie godzi się.

Jeżeliby żądano od nas bezwarunkowo wskazówek, co społeczeństwo polskie w tem krytycznem położeniu winno przedsiewziąć, to powtórzylibyśmy, co już przed kilku laty powiedzieliśmy. Pod względem narodowościowym odradzać można wychodźstwo starszej daty, za pomocą wychodźstwa nowszej daty. W tym celu należy zwrócić specyalną uwagę na wewnętrzną pracę w domu, ażeby wychodzący opuszczali kraj zaopatrzeni w jakiś ideał etyczno-narodowy i w pewien zasób wiadomości, które umożliwiłyby im zajęcie stanowiska krytycznego wobec tego, co widzą i słyszą na obczyźnie. Dzięki nieco wyższej oświacie przejęciu się ideałami społecznymi, socyaliści polscy na wychodźstwie mniej łatwo ulegają wynarodowieniu, niż ich rodacy, inaczej wychowani.

8) Gdyby dla społeczeństwa polskiego wychodźstwo było koniecznością, jako dla rozporządzającego nadmiarem sił, to zakończylibyśmy nasze wywody następującemi uwagami:

a) Ponowne zakładanie Towarzystw św. Rafała jest najzupełniej bezcelowem, gdyż nadużycia, praktykowane w okresie gorączki brazylijskiej, należą do historyi i tłomaczą się specyalnymi warunkami, które tę gorączkę sztucznie wywołały. Wyzysk na jaki wychodźcy są wystawieni, jest wyzyskiem czysto handlowym, od którego żadne towarzystwa opiekuńcze nie uchronią. Organizacya agentów zmierza do tego by z jednej strony zachęcić do podróży, z drugiej narzucić usługi reprezentowanej przez siebie kompanii przewozowej. Im większe jest współzawodnictwo między kompaniami, tem większe rzeczywiste lub pozorne są udogodnienia dla wychodźcy. Nie zadowolić go nie leży w interesie ani kompanii, ani jej agenta. Sporadycznie zdarzyć się jeszcze może, przy wyjątkowym zbiegu okoliczności, że wychodźcę wiozą nie tam gdzie się wybierał. Gdy bajeczna ciemnota wychodźcy polskiego zetknie się z jakim niesumiennym wyzyskiwaczem, to tego rodzaju wypadki są możliwe, i temu Towarzystwo św. Rafała też nie zdoła zapobiedz. Daleko przydatniejszem byłoby w tym razie szerzenie wiadomości geograficznych, oraz uświadamianie, co do obyczajów i przepisów, obowiązujących podczas podróży morskich i lądowych.

b) Gdyby moralny i umysłowy poziom wychodźstwa polskiego w Paranie, oraz panujący tam rozkład prawno-państwowy, na to pozwalały, to należałoby ustanowić dla tamtejszych osadników tani i długoterminowy kredyt celem podźwignięcia gospodarstw i wyrwania osadników z pajęczej sieci lichwiarzy i szynkarzy. Niestety urzeczywistnienie podóbnego projektu byłoby przedsiebiorstwem bardzo a bardzo ryzykownem.

c) Wszędzie opieka konsularna dla wychodźców polskich jest niedbałą i opieszałą.

d) W Kanadzie pośrednikami między władzami a wychodźcami są „żydzi“, którzy nie naruszając przepisów, wyzyskują nieświadomość wychodźców, jako stręczyciele i nabywcy pracy a także, jako dostawcy przedmiotów w czasie długiej podróży, Konsul rosyjski nie interesuje się wychodźcami polskimi, austryacki zaś z racyj państwowych niechętnym jest emigracyi, a władze nie mają komu pośrednictwa tego powierzyć, w braku miejscowej, polskiej inteligentnej reprezentacyi z ramienia jakiego stowarzyszenia lub organizacyi.

e) Pożądanem byłoby, ażeby polskie wędrowne trupy teatralne z repertuarem przeważnie polskim, złożonym ze sztuk ludowych i popularniejszych komedyi lżejszych, polskich odwiedzały Stany Zjednoczone. Powodzenie materyalne takiej trupy nie przedstawia ryzyka.

Obserwator.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Lud.

Ciekawa rzecz, ilu też jest między nami, którzy czytali „Manifest Towarzystwa demokratycznego polskiego“ w r. 1836 i wiedzą, że on jest uważany przez historyków rozwoju pojęć społecznych za jeden z najpierwszych momentów demokratyzmu nowoczesnego? Można przypuścić 100 na 20 milionów? Wątpię— a szkoda, że tak jest. Bo gdyby śród nas liczba znawców tego dokumentu wyrównywała przynajmniej liczbie znawców „Figlików“ Reja lub „Fraszek“ Kochanowskiego, nie potrzebowalibyśmy wierzyć ze wstydem w to, że byliśmy zawsze społeczeństwem szlacheckiem, odwróconem plecami do każdego ruchu ludowego, że nasz radykalizm stanowił rodzaj grzechotki w ogonie węża europejskiego i że nasza tradycya narodowa nie posiada z dawnych lat ani jednej wybitniejszej pamiątki demokratyzmu. Dzięki temu zapomnieniu i niewiedzy obcy mogą nam za jego brak urągać, a swoi — pluć w jego rodzinne gniazdo kłamstwem, że w nich lęgą się obce kukułki. Najznamienniejszym rysem owego manifestu była wielka miłość i gorąca obrona ludu. „Głęboko przekonani jesteśmy—mówili jego twórcy—iż porządek towarzyski na przywłaszczaniach oparty, w którym jedni używają wszystkich korzyści do życia społecznego przywiązanych, drudzy same tylko ciężary życia tego znosić są przymuszeni, jest jedyną przyczyną nieszczęść ojczyzny naszej i ludzkości całej. Póki porządek taki, przyrodzoną sprawiedliwość gwałcący, istnieć nie przestanie, trwać będzie wewnętrzna walka między uciemiężonymi a ich ciemiężcami, między masą skazaną na ciemnotę, nędzę i niewolę, a szczupłą liczbą tych, którzy wszystkie korzyści życia społecznego zagarnęli dla siebie... Wszystko dla ludu przez lud—oto najogólniejsza zasada demokracyi, cel, forma obowiązująca. W ciągu ostatnich o niepodległość usiłowań chcieli wewnętrzni ujarzmiciele (obywatele ziemscy), nadużywając świętego imienia miłości ojczyzny, samym dźwiękiem słów nakarmić lud, niedostatkiem fizycznym drażniony.“ Rzec można, że od owej chwili aż do dziś nasz lud wiejski takich serdecznych przyjaciół i gorących orędowników nie miał. Wszystko to bowiem co dla niego potem zrobiono i co dziś się robi, jest przeważnie wypływem opiekuństwa, zamaskowanej rachuby lub wspaniałomyślności, nie zaś odczucia jego dobra dla jego dobra. Chłop słyszy od nas wyraźnie lub domyśla się takiego wyznania: „Rzeczywiście w przeszłości zaniedbaliśmy was i wyzyskali, ale teraz chcielibyśmy szczerze naprawić tę krzywdę. To znaczy: chcielibyśmy dać wam wiedzę i dostatek nie o tyle wszakże, ażebyście zupełnie się usamawolnili umysłowo i ekonomicznie. Wy musicie poddać się naszemu przewodnictwu i dostarczać nam rąk potrzebnych do pracy dla waszych naturalnych opiekunów.“ Lud oświecony i zamożny pod skrzydłami dwóch aniołów stróżów — jednego ze dworu a drugiego z plebanii — oto jest ideał naszej socyologii. Natomiast lud całkowicie samodzielny, od wszelkiej zależności wyzwolony, stawiający sobie własne cele i wybierający własne do nich drogi, nie dziś, ale kiedykolwiek byłby wielkiem dla nas strapieniem. Ponieważ zaś weszliśmy obecnie w okres programowania nietylko naszych zasad i dążeń na zewnątrz, ale także naszych stosunków wewnątrz, więc sądzę, że należy związać obecny nasz demokratyzm z demokratyzmem przodków z przed laty 70 i uświadomić sobie jasno nasz stosunek do ludu wiejskiego.

Pierwszy numer wszelkiego porządku dziennego w obradach społecznych powinien być przyznana cierpieniu. Ono z prawa swego majestatu ma głos przed wszystkimi innymi i może nim zawsze przerywać ustanowioną kolej. Otóż nasz lud wiejski nosi w sobie ogromny ból; zamilkł, przekonawszy się, że daremnie mówił, ale jego milczenie my słyszeć winniśmy. Naprzód jest on nędzarzem. Garście strojnego i odkarmionego chłopstwa z żyznych pasów ziemi, w barw-

nych kapotach i z wesołemi twarzami, to nie jest jeszcze lud polski, karmiący się przez cały rok kartoflami, ubrany zimą i latem w te same łachmany i tandetę, mieszkający w zimnych, wilgotnych, ciemnych izbach z nieotwieranemi nigdy oknami. Wiecznie głodny, wiecznie obdarty i wiecznie smutny. Ponieważ jest nam z tym sofizmatem wygodnie, więc powtarzamy przy każdej sposobności, że nie należy bezwględnie litować się nad naszym chłopem, bo on ma większą wytrzymałość a mniejszą wrażliwość. Gdy z kawałkiem chleba wyjedzie jako parobek lub gospodarz na pół doby i przez cały ten czas nie dotknie ustami ciepłej strawy, powiadamy: on jest do tego przyzwyczajony. Gdy w dziurawych butach i przewiewnej burce wiezie w nocy do miasta na sprzedaż garniec śmietany i kilkanaście jaj przy 15 stopniowym mrozie, powiadamy: on jest do tego przyzwyczajony. Gdy mając w jakimkolwiek urzędzie do załatwienia interes, wymagający kwadransa, musi na dworze oczekiwać w skwarze lub szarudze przez cały dzień, powiadamy: on do tego przyzwyczajony. I rzeczywiście, tkwi w tem twierdzeniu prawda. Alboż my nie przyzwyczajamy się do suchot, złośliwych nowotworów i wszelkich kalectw? Człowiek jest najelastyczniejszą i najpodatniejszą zewnętrznym warunkom organizacyą w całym świecie biologicznym, i pomimo niezliczonych odmian położenia prawdopodobnie jeszcze nie wyczerpał wszystkich możliwości przystosowania się. Z jednej strony daje to bogactwo jego naturze, z drugiej go unieszczęśliwia, zmniejszając jego opór. Gdyby on nie tak łatwo i cierpliwie poddawał się przeciwnościom, nie byłby dziś w wielu wypadkach podeptanym przez los. Wyobraźmy sobie, że nasz lud nie chciał się kiedyś przyzwyczaić do niewoli, potem do poddaństwa, a wreszcie do nędzy i ciemnoty, z pewnością byłby dziś szczęśliwszym.

Jak najbardziej przyzwyczajonym do swej niedoli kalekom lub więźniom zmartwychwstaje często w sercu tęsknota do zdrowia i swobody, tak samo pogodzony ze swem ubóstwem i ciemnotą lud nasz miewa niezawodnie chwile strasznego żalu. Wtedy pyta przestrzeni — jedynej instytucyi, która wszystkich pytań słucha, chociaż na żadne nie odpowiada: Dlaczego ja jestem skazany na podwójną nędzę—fizyczną i umysłową? Dlaczego mąka z kartoflami, przysmak trzody chlewnej uznany został za wystarczający dla mnie pokarm w dostatku? Dlaczego moja ciężka, nieprzerwana, żadną uciechą prócz świętowań nierozjaśniona praca nie zabezpiecza mnie nawet od głodu? Dlaczego ja muszę istnieć, działać, spełniać obowiązki z gęstym mrokiem w duszy? Dlaczego nad mojem życiem nie pali się słońce wiedzy, dlaczego mój geniusz musi marnieć, i ginąć bez opieki i rozwoju? Dlaczego nie mam dość tej ziemi, którą ja głównie dla mojego narodu ocaliłem? Pytania te, zawsze ważne, nabierają szczególnego znaczenia teraz, kiedy nadzieja zmiany warunków bytu społeczeństwa zbliża się ku urzeczywistnieniu. Jeżeli nadejdzie chwila, w której będziemy mogli przystąpić do zorania wszystkich naszych niw, otworzą się liczne i rozległe. Żadna z nich wszakże nie powinna ściągnąć ku sobie naszej pracy przed ludową. Gdyby mi kazano w jeden wyraz ująć cały program działalności kulturalnej u nas, rzekłbym: tam leżą nasze główne obowiązki i interesy społeczne, tam spoczywają nasze największe siły wytwórcze, tam—nietknięte lub niewyzyskane a bogate pokłady uzdolnień i talentów, tam — świeże zdroje natchnień, uczuć i dążeń. My—z wierzchnich warstw—jesteśmy już wyczerpani, w znacznej części zwyrodniali lub w swych duszach spospolitowania, a przytem tak nieliczni, że własnemi siłami nie udźwigniemy ciężkiej przyszłości narodu. Trzeba więc zająć się ludem, dać mu oświatę i dobrobyt, nauczyć go myśleć o nas i za nas, nie oddalać, ale przyspieszyć tę porę, kiedy on zawoła do nas: Umilknijcie, teraz ja mówić będę!...

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Th. Lipps.

Przyczynek do psychologii DEKADENTYZMU

(Dokończenie).

Nie waham się twierdzić, że i prawdziwa sztuka, to źródło potężne zdrowia duchowego ludzkości, może się stać narzędziem dekadencyi; w sztuce tkwi moment, który w sposób szczególny daje się na jej rzecz wyzyskać, a mianowicie: sztuka, stawiając przed oczy świat idealny w którym żyć każe, tem samem odrywa nas od rzeczywistości, do której należymy i należeć winniśmy. Wynika stąd dysocyacya, o ile w duszy niema przeciwwagi tj. poznania rzeczywistości, jasnego poglądu na całość życia, przedewszystkiem zaś na całokształt celów i obowiązków do urzeczywistnienia. W zdrowej istocie duchowej bezwarunkowo zachodzi takie przeciwdziałanie, dąży więc ona do odzyskania swego realnego „ja”, pragnie być całą sobą, szuka uzupełnienia sztuki w rzeczywistości, uzupełnienia rozkoszy w pracy. Dlatego też tylko jednostronny kult sztuki, nadprodukcyę w jej dziedzinie i nadmiar roskoszy estetycznych uważam za objawy dekadentyzmu.

Nadmienię, że ze wszystkich działów sztuki muzyka stoi najdalej od rzeczywistości i najczęściej od niej odrywa swych adeptów jednostronnych.

Zdolność odczuwania rozkoszy estetycznej jest tylko jedną z wielu stron duszy, sztuka to tylko jeden z przejawów działalności życiowej. Celem człowieka jest cały człowiek, a więc sztuka ma racyę bytu jedynie jako jedno z ogniw w postępie kulturalnym, który ostatecznie utożsamiam z postępem etycznym.

Do rzędu objawów dekadencyi zaliczę jeszcze niezdolność wyraźnego rozgraniczania rzeczy zasadniczo różnych, jak np. stapianie pojęć oderwanych z wytworami sztuki, jakieś rzeźbione malowane lub w dźwięki ujęte: „filozofia”, „pogląd na świat” i t. p.; dalej, łączenie w jedno typowo różnych działów sztuki. Każdy rodzaj artyzmu posiada swój charakter odmienny, własnego ducha i poezyę własną, wydobywa je przy pomocy sobie tylko właściwych środków tworzenia, materyału i techniki.

Wspomnę wreszcie o dekadenckiej niezdolności rozróżniania rzeczy ważniejszych i mniej ważnych. Wszak bezwątpienia istotę poezyi stanowi jej treść, pozostałe pierwiastki przyczyniać się winny do spotęgowania wrażeń wywołanych treścią, lecz własnych uroszczeń mieć nie powinny. Będzie to zawsze ze szkodą dla dzieła sztuki, jeżeli czynniki drugorzędne, dajmy na to brzmienie wyrazów, zajmą stanowisko przodujące i zechcą coś oznaczać same przez się.

Dobrze, jeśli książka, która służy poznaniu prawdy, lub dostarcza rozkoszy estetycznej, swą szatą zewnętrzną przyczynia się do osiągnięcia tego celu, ale nierozsądnem by było i świadczyłoby, że nie chodzi ani o prawdę, ani o estetykę, gdyby to zdobnictwo rozpanoszyło się i wystąpiło jako rzecz główna lub nawet ważna sama przez się.

Z wyżej wyłożonego wnosić mogliśmy, że istotę dekadencyi stanowi dysharmonia pomiędzy pobudliwością poszczególnych stanów psychicznych a siłą kojarzącą osobowości. Dodamy tylko, że taki brak harmonii powstawać może z jednej strony wskutek zmniejszenia siły kojarzącej, z drugiej zaś pod wpływem wzmożonej pobudliwości stanów poszczególnych. Właśnie ostatni ten objaw wyraźnie cechuje nasz wiek dekadencki.

Głośniejsze i szybsze uderzenia serca nie są jeszcze dowodem wzmożenia się jego energii, przeciwnie świadczą nieraz o nieprawidłowem działaniu. Podobnie i obraz wzmożonej pobudliwości duchowej niezawsze odpowiada wyższemu rozwojowi siły psychicznej. Czasem wiąże się on ściśle z upadkiem kojarzącej siły duszy, uwarunkowany jest przez dysocyacyę, pochodzi jedynie z braku hamulców, normujących działalność psychiczną i jest oznaką choroby, tak samo jak jest nią nadczułość fizyologiczna.

Uogólniając wszystko, powyżej powiedziane, otrzymujemy wnioski następujące: Samodzielność pojedyńczych wrażeń i wyobrażeń, wszelkie wyodrębnianie się i różniczkowanie zmierza do wywołania w duszy dysocyacyi, do obniżenia siły kojarzącej. Odrębność zdobywa się kosztem całości.

Lecz w naturze rozwoju ludzkości różniczkowanie się leży we wszelkich dziedzinach. Najwyraźniej, wciąż więcej i więcej wydziela się życie społeczne, zwłaszcza jego podstawa ekonomiczna: jednocześnie stwierdzamy szkodliwe tego skutki. Jesteśmy powstrzymywani na drodze spokojnego ześrodkowywania naszego bytu, powstaje dysocyacya w częściach składowych i całości społecznej, ukazują się objawy nerwicy osobnikowej i społecznej, roztroju ogólnego.

Rozwój sztuki pcha ją także bezwątpienia ku coraz większemu zróżniczkowaniu i znów widzimy zgubne jego rezultaty.

Jak temu zaradzić pytamy? Oczywiście nie cofaniem się, któreby było zarówno bezskuteczne, jak szkodliwe. Pozostaje więc inna droga. Różniczkowanie się wtedy tylko może postępować bezkarnie, jeżeli mu towarzyszy wzrost siły kojarzącej. Za przykład weźmy naukę, która różniczkuje się coraz bardziej, a jednocześnie wytwarza coraz ogólniejsze punkty widzenia. Obraz naukowy wszechświata coraz bardziej upraszcza się, praca zaś naukowa rozszczepia się na nieprzerwany szereg specyalności, z których każda musi mieć zawsze całość nauki na oku.

Tę jej zasadę podstawową winniśmy zastosować w całem życiu naszem. Wychowanie w szkole i społeczeństwie musi się ześrodkować i przeciwdziałać wpływom poszczególnym i ich rozkładowemu (na ogół biorąc) działaniu. Całe wychowanie winno się podporządkowywać celowi najwyższemu, jakiem jest wychowanie moralne.

I sztuka ulegnie ześrodkowaniu, gdy dojdzie do przeświadczenia, że przedmiotem jej jest zawsze „człowiek”, przedewszystkiem zaś jego pierwiastki dodatnie, które stanowią o zdrowiu i sile duszy. Wówczas sztuka stopi się w jedno z kulturą etyczną, przestanie być czemś wyższem, powołanem do panowania, zrozumie, że jest częścią

i służebnicą, kwiatem, nie zaś owocem życia. Umilkną tyrady o estetycznym poglądzie na świat. Pogląd na świat może być naukowy lub moralny, a na tym ostatnim wspiera się najwyższy pogląd religijny, co zaś do estetyki to jej dziedzina leży po za granicami świata rzeczywistego.

Życie społeczne winno się oprzeć na etyczno-społecznej zasadzie, że celem rozwoju społecznego ludzkości jest wytworzenie moralnej, silnej, w zupełnej mierze zdolnej do czucia i współczucia, jednolitej i wolnej osobowości.

Jedynie w pierwiastku etycznym ześrodkowują się wszystkie siły duchowe człowieka. Jedynie odrodzenie moralne może nas uratować od dekadencyi, od tej potęgi z gruntu antimoralnej, która dziś pęta umysły i sumienia. Odrodzenie moralne polegać będzie na uzdrowieniu organizacyi psychicznej, na wyzwoleniu i harmonijnem skojarzeniu wszystkich sił zarówno w osobniku jak i w społeczeństwie, na pozyskaniu przewagi przez te czynniki, które sprzyjają tworzeniu się „człowieka".

Kiedy nadejdzie to odrodzenie, jaki przebieg będzie miało, czy odbędzie się drogą ewolucyi, czy też rewolucyi, któż dziś co o tem powiedzieć może?

spolszczyła *M. Kalinowska.*

LITERATURA I SZTUKA

Cypryan Norwid.

Dokończenie

Norwid wierzy silnie. Wiara jest podłożem jego całego „ja" twórczego. Prorok treści wszechżycia w chwilach tajemniczej bladości księżyca" słyszał pulsowanie praistnienia. W takich chwilach urok nocy „łagodzi zmysły", „pamięć ukraca" i przenosi w jakąś obecność nieznana— myśl wrażeniami za dnia pomiatana". Myśl, zwolniona od więzów gwaru dnia, roześniewa się, i nawet zbrodniarze „w kajdanach wilgotnych" w takich chwilach czują, że „jeśli nie kres — rytm ma ich cierpienie." Samotni—słyszą wtedy niesłyszane za dnia szepty, mówią im one o tem, iż „wszelka samotność ma swych współsamotnych." Człowiek w momencie tym przez „czasowe"—wieczne słyszy". Bo „w ruinach, w nocy, mówią się takie słowa, które gdzieindziej dziwnym brzmiałyby sposobem, nie tylko bowiem z myśli jest myśli osnowa". Melodya tych momentów jest objawienie jedności i harmonii świata. Życie, to nieustanny ruch, nadający najmniejszemu pyłkowi znaczenie i powagę istnienia. Panteizm Norwida stanowi cała treść jego duchową.

„Przez labirynty, nie budowane głazami, lecz z ludzkich uwiane żywotów, hieroglifami pozapisywane, duch jako powój wśród chruścianych płotów pnie się ku górze". Forma - ciało opada i niknie, treść - prawda-duch trwa w każdem wcieleniu się, jaśnieje i doskonali. Siła tworząca tę przemianę—ów władca - bóg, będąc doskonałym, „w zniszczeniu nawet ocala i tworzy." „Wszystkie rzeczy są, które bywały, acz w tryb ujęte coraz więcej boży." Energie wszystkie — trwają wiecznie. „Taż sama prawdy radość Sokratowa, gdzieindziej dziś jest, ale jest i nowa." A w „każdej śmierci jest nieśmiertelność".

Wizya Norwidowa pięcia się ducha przez oporne formy ciała niema w sobie krwawego znamienia Juliuszowego. Męka jest tu więcej utęsknieniem, niż bólem i mordem. Zjawiska wszelkie łączy w całość prawo rozwoju; wszelka rzecz jaśnieje i doskonali się przez to, że, przechodząc drabinę od nizin ku wyżynom, coraz bardziej zostaje ujęta w tryb „boży" i z chaosu przez coraz większe krystalizowanie się wspina się w hierarchii doskonałości. Niema w Norwidzie poczucia, jako istnienia kary, jest tylko wiara, że światem rządzi prawo emanacyi prawdy odwiecznej z chaosu droga wcieleń stopniowych. Nieco niedopowiedziane jest pojęcie o stosunku wszechistnienia do jego celu i przyczyny. Religijna wiara w Boga mówi, że i on tęsknił do Jeruzalem przybytku wytchnienia i radości. To znów słowa: „Pan bowiem jest i Mistrz, a rzekłbyś—prawie i Uczeń", wykazują, że nie była mu obcą myśl, iż odwieczna Prawda spoczywa w samem wszechistnieniu, które niema końca, ani początku. Rozstrzygnięcie tego pytania pozostało zagadka, którą tylko zaginione rękopisy mogłyby wyjaśnić.

Prawo rozwoju przeniósł Norwid i na zewnętrzne dzieje ludzkości. W postępie dojrzał on: „dwie cywilizacye; jedna— chce wszystko odkrywać na seryo, druga— chce wszystko pokrywać zabawnie świetna liberya. Pierwsza dąży w przyszłość ku zdobyciu promieni światła, ku odgadnięciu tajemnicy bytu; teorya wszystko objaśnia, tłomaczy, prawa stanowi niezłomne, wstrzymuje zdobycze pierwszej. „Zdrój łez jej pokaż;—ona odpowiada: Nie trzeba zważać na to... cóż to znaczy - deszcz może pada." Nad niemi unosi się słońce—oko wszechżycia, które zna Prawdę i wie, którędy światy krążyć mają. Łączność wszechistnienia urzeczywistnia się i w stosunku ludzkości do pojedynczych jednostek. Te ostatnie rodzą się, cierpią, tęsknią, szukają, mrą, a ona—obojętnie idzie niezmiennie ku swemu celowi. „Ludzkość wymaga ofiar, ludzkość jest zbiorowa; gdy jednostkowy człowiek kona lub jest chory, ona idzie,—silna to jest dziewka i zdrowa." Historya cała streszcza się w ustawicznem „zużywaniu się i odradzaniu bohaterstwa, które prowadzi wielką armię pracy, towarzysząc jej, jako straż przednia."

Taż łączność istnieje i w sferze zjawisk duchowych. Najwyższą potęgą jest tu piękno; znajduje się ono w nierozerwalnym związku z całością życia. Norwid, uważając Piękno za kształt Prawdy i Miłości, za marmurowy pomnik jedności myśli i uczucia, wierzy, że „piękno to jest, by zachwycało do pracy, — praca, by się zmartwychwstało." Z pojęciem wierzącego woła on: „powiadam wam, że kmiecie my wszyscy tu jesteśmy i od uczestnictwa w związku pracy nikomu wywinąć się nie wolno pod pod karami wielkiemi, które stad na społeczeństwo upadają." Życie jest służba wszechistnienia, a człowiek jest to „kapłan bezwiedny, a niedojrzały".

Słowo a czyn — to jedność. „Błądzą ci, którzy wyobrażają sobie, że działalność słowa obniża się przy zetknięciu z życiem, przecież czynić i myśleć—to tylko dwa bieguny jednej i tej samej całości, a czasy bardziej poważne nakładają tylko jeden przymus: poważnego myślenia." Słowo jest czynem; Piękno jest czynem, wszelki przejaw energii ducha jest czynem.

Sztuka to tęcza „wieczny Jeruzalem", to „łuk przymierza po potopach historyi", to najwyższe napięcie ducha, to najczystsze skupienie najgłębszej treści życia. Poeta zaś to olbrzym, ujmujący w ramiona wszechistnienie. „Skoro istota poety zebrać u piersi swoich nie umie planety całego chóru ludzkich współłez i współjęków, od ziemi do macicy tej najwyższych sęków, od karła do olbrzyma, od tego co kona, do tego, co zawisnąć ma jutro u łona, — zaiste niech mnie taki nie uczy, co ciemne i co jasne!—on ledwie że wie, co przyjemne!" W wizyach swych poeta unosi się nad światy ku „przedmieściom Jego Jeruzalem, wczuwa się w przyrodę, „zwierzokrzewowe psalmy"; mówi z koralem, „z delfinem—pacierz, gloryę z orłem uskrzydlonym". Musi on, aby sile własnej sprostać, ująć świat w ramiona i wstrząsnąć nim tak, aby podstawy podstaw zadrżały i popadały.

Jakim był poeta, taką i była jego twórczość. Ton jej był niezmiernie jednolity. Wizye swe ubierał Norwid w subtelne tkaniny snującej się myśli srebrzystej, otaczał je atmosferą perspektywy nieskończoności i śnił je, jako echa istnienia wszechświata. Nie mają one w sobie porywającej plastyki kształtów, przemawiają raczej muzycznością nastroju. Nastrój był ulubioną jego formą oddziaływania. Szczytu doskonałości dosięgnął on w tragedyi „Kleopatra". Podobne jej są dwie drugie „Wanda" i „Krakus", i poemat „Quidom". Wszędzie poeta stosuje to założenie, że „każde miejsce inakszą ma nocy symfonię." Intensywne skupienie myśli rodzi wielką powagę słowa. Każdy wyraz pojedyńczy miał dla Norwida ukryte, głębsze znaczenie. Nie mówił on ani słówka po próżnicy, nie używał fontanny wielobarwnej dźwięków dla uczczenia święta przemawiania poety. Miał jakiś kult dla mowy ludzkiej, wiązał wyrazy, jak łączą się pojedyncze perły w naszyjnik, w którym każda z nich ma swe znaczenie i swój i odblask.

Z wszystkich dzieł Norwida najsilniejsze wrażenie wywiera „Kleopatra". Roztoczył on tu całe bogactwo skupionej fantazyi; każda scena tego poematu to pełen uroku czarownego nastrój, porywający cicha mową, głośna treścią, odczuciem serca ludzkiego, głębokością ujęcia jego tajemnicy i powagą mowy. Poeta z niewielu słów wydobywa szerokie efekty skupienia i napięcia. Bez silnych, jaskrawych barw, bez wrzaskliwych fanfar oddaje on pewną ręką kawał życia, w którym widział „uwidomienie fatalności historycznej, albo socyalnej, narodowi albo wiekowi jakowemu wyłącznie właściwej." Podobne wrażenie wywierają i inne jego utwory dramatyczne.

W poematach i nowelach Norwid kładł nacisk na tajemnicę łączności wszechrzeczy, usiłując odgadnąć „stygmat", zdobiący czoło ludzkie i uchwycić, zakląć w słowa wielką, nieśmiertelna Prawdę, zawartą czy to w życiu osobnem, własnem jednostek, czy też w dziejach ludów, narodów, wieków i światów. Ta myśl przewodnia odbiła się i na jego technice. Poeta pod tym względem był dalszym ciągiem romantyków i jednocześnie zwiastunem współczesnych. Subtelność niedomawiania, siła łączenia, ujmowania rzeczy myślowych z uczuciowem ich odczuciem, wybredność w środkach uzewnętrznienia swych wizyj itd.— cała ta „postaciowa" część jego twórczości uderza z jednej strony oryginalnością, którą jej nadaje spirytualizm i namaszczenie kapłańskie, a z drugiej ma wiele wspólnego z dzisiejszym rozwojem słowa artystycznego. Wstrzemięźliwym jest wielce Norwid w wypowiadaniu treści swego ducha, unika melodyi uczuć osobowych, a przez to jego liryzm ma w sobie chłód marmurowy tragedyj greckich, które tylko opowiadają o uczuciach, lecz nie wynurzają ich w porywie ekstazy.

Piękno poezyi Norwida zawiera się nietylko w twórczem jego słowie, lecz w poglądach teoretycznych na sztukę. Jednem z głębokich zagadnień sztuki, do których poeta stale powracał jest kwestya sztuki narodowej. W rozprawie, wydrukowanej w zbiorze jego poezyi, wyszłym w Lipsku 1863 roku, mówi on: „Sztuka narodowa, jako czas, może być tylko wyrazicielką go-

dziny historycznej, o której naród jaki poczuwa się do udziału w wyrobie ogólnym.“ Przez nią przemawia Idea (treść duchowa), która zostaje Prawdą (kształtem). „Każdy naród przychodzi inną drogą do uczestnictwa w sztuce; ile razy przychodzi tąż samą, co i drugie, to nie on do sztuki, lecz sztuka doń przychodzi”. Norwid sztukę pojmuje jako pewną konieczność kulturalną, niezbędną dla pewnego stadyum rozwoju narodu lub jednostki. Zrozumienie sztuki polskiej wypowiedział poeta z rozmodlonem poczuciem i głębokiem ukochaniem w poemacie: „Promethidion”. Mówi on tu: „I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę, jako chorągiew na prac ludzkich wieży, *nie jak zabawkę, ani jak naukę*, lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła i jak najniższą modlitwę anioła”.

Sztukę narodową pojmował Norwid jako usymbolizowanie swojskiego ducha. „O! gdybym jedną kaplicę zobaczył, choćby jak pokój ten wielkości takiej, gdzieby się swojski duch raz wytłomaczył, usymbolicznił rozkwitłemi znaki, gdzieby kamieniarz, cieśla, malarz, snycerz, poeta wreszcie męczennik i rycerz odpoczął (począł na nowo) w pracy, czynie i modlitwie”. Narodowość sztuki pojmował poeta nie jako tematy lub wyłącznie motywy, lecz jako ogólny nastrój twórczości.

Piękno było dlań kształtem Miłości i i Prawdy, sztuka—wcieleniem Piękna.

Niemożliwem jest wyczerpać w krótkim artykule wszechstronnie treść tak olbrzymiego ducha, jakim był Norwid. Poprzestaję więc na głównych rysach, odkładając do szczęśliwszych czasów uzupełnienie portretu.

Cypryan Norwid w dziejach artyzmu polskiego zajmuje samotne miejsce pustelnika, którego losem było przemawiać i nie być słuchanym, kochać i nie widzieć w koło siebie nikogo. Całe bogactwo swojej duszy wcielił on w mistyczną tęsknotę do wszechżycia, w wiarę w bezkresy i żarliwe usiłowania odgadnięcia tajemnicy bytu. Dziś ci, „którym żywot cieniów w pół śnie bez imienia nie obcym jest” doszli w swym pochodzie do tego, który tak wierzył, że wnuk go odczyta i pojmie. Słowo dlań było czynem, twórczość jego to — „mówienie treść posiadające”.

Zbigniew Brodzki.

Życie publiczne w Rosyi.

Now. Wrem. pisze:

„Znana rezolucya zjazdu gubernialnych marszałków szlachty, zwołanego w Moskwie przed trzema tygodniami, roztrząsana jest obecnie w guberniach przez powiatowych marszałków szlachty, deputatów szlacheckich i wogóle szlachtę miejscową. Takie roztrząsanie odbywa się obecnie w Moskwie pod przewodnictwem ks. Trubeckiego, przyczem opracowywany jest program ustanowienia przedstawicielstwa narodowego z nieodzownym warunkiem zachowania samowładztwa. Sprawą tą zajęło się także kilka kółek, stworzonych w Moskwie. Głównem ich zadaniem jest połączenie przeciwników parlamentaryzmu ze wszystkich klas i stanów. Śród tych kółek, szczególnie są czynne kółka hr. P. S. Szeremetjewa i N. A. Chomiakowa. Różnice ich kierunków są tak nieznaczne, że niektórzy członkowie uczestniczą w obu. Pociągając do siebie ludzi bez różnicy stanów, kółka te nadają łączność działalności politycznej szlachty i innych stanów, wzmacniając tym sposobem liczebność i znaczenie swojej partyi.

Kółko Chomiakowa działa przeważnie w Moskwie, hr. Szeremetjewa—ogarnia prowincyę.

Credo i program tych kółek są następujące:

„1) Rosya i samowładztwo są nierozdzielne. 2) Współdziałanie w utrwaleniu pomiędzy Tronem a narodem ścisłej i żywej spójni na zasadach wygłoszonych przez Monarchę. 3) Przeciwdziałanie wszelkiemi środkami legalnemi dążnościom, usiłującym narzucić Rosyi obce dla niej formy rządu“.

Istnienie tych dążności — mówi *Now. Wrem.*, — w ostatnich czasach stało się widoczne dla wszystkich. Nie są te prądy ani rosyjskie, ani narodowe, ale bardzo krzykliwe i natarczywe. Nawet Moskwa, nawet kupiectwo moskiewskiego okręgu fabrycznego, nie pozostały wolne od tych prądów.

Ruś pisze:

„Dziś, wczoraj i onegdaj (22, 23, 24 kwietna) kolonia polska w Moskwie wita gości, żyje, wzrusza się. Z inicyatywy ks. D. J. Szachowskiego i A. R. Lednickiego odbył się tutaj zjazd działaczy społecznych, rosyjskich i polskich. Wszystkich uczestników zjazdu było przeszło stu. Ze strony polskiej było 34 przedstawicieli Królestwa Polskiego i gubernij północno i południowo-zachodnich. Ze strony rosyjskiej wzięli udział wybitni działacze ziemst, miasta i towarzystw naukowych z Petersburga, Moskwy, gub. tulskiej, charkowskiej i innych. Na zjeździe zaznaczono konieczność wszechstronnego oświetlenia rzeczywistości rosyjskiej i polskiej, a nadto — współdziałania.

Postanowiono zwołać drugi zjazd, którego termin wyznaczy osobne biuro, stworzone z wybranych przedstawicieli“.

W Nr-ze 95 *Rusi* czytamy:

W chwili obecnej cała zakordonowa prasa polska wyraża rozczarowanie z powodu ogłoszonych przez komitet ministrów postanowień, dotyczących reform w Królestwie Polskiem. Gdyby wnioskować na podstawie listów z Królestwa, tam również rozpowszechnia się, zależnie od temperamentu, przygnębienie u jednych, rozdrażnienie u innych.

Przyznajemy, że wydaje się to dziwnem. Po co było oczekiwać czegoś nadzwyczajnego? Przecież poprostu za fakt nadprzyrodzony uznaćby należało, gdyby rosyjski rząd po dwu posiedzeniach komitetu ministrów nagle obdarzył Polaków spełnieniem ich wszystkich życzeń!

W takiej chwili bardzo na miejscu jest życzenie Polakom jak najgłębszego wniknięcia i zrozumienia sytuacyi.

Jeśli wszystko pójdzie, jak należy, chwila obecna zamiast powiększyć jeszcze zamieszanie i wzburzenie, może się stać, przeciwnie, punktem zwrotnym w polskim światopoglądzie politycznym, którego podstawą stanie się ostateczne świadomość, iż do pożądanego celu narodowego dążyć należy przy pomocy i ręka w rękę ze społeczeństwem i narodem rosyjskim. Do tego potrzebne są naturalnie i przedewszystkiem cierpliwość i organiczna, stopniowa praca. Wielkich jednak celów nie osiąga się bez wielkich wysiłków. Oczekiwać czego innego, to znaczy być naiwnym. Drogę zgodnego współdziałania ze społeczeństwem rosyjskiem wskazują Polakom wypadki dnia. Po uwieńczonych wielkiem powodzeniem naradach z rosyjskimi działaczami ziemskimi i społecznymi w Petersburgu, nastąpił liczny zjazd polsko-rosyjski w Moskwie, na którym po raz drugi mieli Polacy sposobność przekonać się, że mogą liczyć na jak najprzyjaźniejsze poparcie swoich interesów w szerokich i wpływowych kołach rosyjskiego społeczeństwa. Toż wrażenie odebrać musieli Polacy z wszechrosyjskiego zjazdu dziennikarzy. Nie można więc mówić, że kwestya polska w Rosyi stanęła na martwym punkcie i że dla tego powinni Polacy oddać się melancholii lub rozpaczy. Przeciwnie leży przed nimi pole szerokie, na którem powinni właśnie poruszyć urodzajną, dziewiczą jeszcze glebę. Zadanie to skomplikowane, praca ciężka, lecz za to niewątpliwie wdzięczniejsza i pewniejsza, niżeli rachowanie na szczodre dary ze stołu biurokracyi.

Tym jednak razem, wyjątkowo, postanowiono dać Polakom cały kawałek powszedniego chleba. Uważamy to za dobry znak, bowiem tak znaczna, bądź co bądź, zmiana poglądów za stołem świadczy o głębokich, istotnych przeobrażeniach, jakim uległa ogólna sytuacya. Zdaje nam się więc, że mogliby Polacy przyjąć ofiarowane im ustępstwa spokojnie, nie jako coś ostatecznego, lecz jako zadatek lepszej przyszłości, która jednakże, stanie się ich udziałem dopiero przy pomocy narodu rosyjskiego, gdy on nareszcie stanie na własnych nogach.

Profesor uniwersytetu i prezes Towarz. historycznego w Petersburgu, Mikołaj Kariejew, tak pisze w „Liście do znajomych polaków”, ogłoszonym w *Nowostiach* (Nr 95).

„Zapatrywania nasze — pisze prof. Kariejew—na prawa narodowe Polaków nie powinny zgoła zależeć od tego, jakie przekonania polityczne Polacy żywią i jakie stanowisko zająć zamierzają wobec naszych kłopotów teraźniejszych. Nasz punkt widzenia, czyli tych Rosyan, których mam za jednakowo ze mną myślących, polega przedewszystkiem na względach etycznych, nie zaś politycznych, na poczuciu sprawiedliwości, nie zaś na wyrachowaniu. W stosunku do Polaków, jak niemniej do innych narodów, zamieszkujących naszą wspólną ojczyznę, my, Rosjanie, powinniśmy się kierować wielką zasady: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło“. Skoro uznajemy dążenia narodowe Polaków, to nie skutkiem tego, że te lub inne koła polskie podzielają nasze poglądy i mogą stać się pożytecznymi dla nas sprzymierzeńcami, ale dlatego, że chodzi o prawa przyrodzone narodu, jako osoby zbiorowej. Pod tym względem wszyscy Polacy są dla mnie równi: i najbogatszy arystokrata, i najuboższy wyrobnik, i ksiądz katolicki, i wolnomyślny mędrzec, i człowiek życzliwy dla mojej narodowości, i człowiek wrogo dla niej usposobiony, skoro tylko uważają się za poniżonych, jako członkowie pewnego narodu. Następnie dopiero będę rozróżniał warstwy, stronnictwa i osoby i rozważał, komu sprzyjać a komu pomagać, jako spółwyznawcom politycznym i sojusznikom, nadewszystko atoli życzę jednakowo tego samego wszystkim bez wyjątku Polakom. To jest właśnie pogląd etyczny na sprawę.

„O poważnych zmianach na karcie politycznej Europy w niedalekich, a chociażby dalszych czasach niepodobna poważnie rozprawiać. W poważnych rozmowach trzeba rachować się z prawdziwymi warunkami spółczesnymi czyli z tem, co jest obecnie możliwe. Sprawa polska na gruncie polityki międzynarodowej jest, jak się zdaje, na długo rozstrzygnięta, i z tym wyrokiem dziejów niepodobna się nie liczyć, stawiając taki lub inny program. Co innego polityka wewnętrzna. Każdy przyzna, że łatwiej zmienić politykę rządową w rosyjskiej lub pruskiej Polsce, aniżeli przywrócić niepodległość polityczną narodu polskiego. Aliści i tutaj, dopóki okoliczności się nie zmienią, a niema zasady przypuszczać, aby taka zmiana bardzo prędko nastąpiła, należy korzystać z danych warunków, ażeby w zakresie ich zdziałać, co tylko można, dla dobra wspólnego.

„Mniemałem np. zawsze, że uniwersytet w Warszawie powinien być polski, ale ponieważ istnieje już uniwersytet rosyjski, należy przynajmniej zabiegać, aby nie był narzędziem rusyfikacyi, lecz ogniwem zbliżenia i pojednania dwóch umysłowości, którym los przeznaczył żyć w jednem państwie. W tym duchu można np. mówić o zadaniach uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie, jako już istniejącego, nie twierdząc tem samem, że uniwersytet w Warszawie żadną miarą nie może być polskim. Tylko tak zapatrując się na tę kwestyę, poczytywałem dla siebie za możliwe wykładać w Warszawie w mniemaniu, że rosyjska ka-

tedra uniwersytecka, wobec kosmopolityzmu prawd szczerze naukowych, może okazać się użyteczną i dla młodzieży polskiej, nie szkodząc samowiedzy narodowej tej młodzieży. Pisałem nawet o tem swego czasu, kiedym marzył o możliwości przeistoczenia uniwersytetu w narzędzie umysłowego zbliżenia Rosyan z Polakami na gruncie wiedzy beznamiętnej.

„Nowożytne państwo ucywilizowane zachowuje się biernie wobec różnych wyznań swoich mieszkańców, a wcześniej czy później to samo musi nastąpić pod względem zachowania się państwa wobec różnych, zamieszkujących je narodowości. Były czasy, kiedy panowała zasada: *Cujus regio ejus religio* (Czyj kraj, tego i wyznanie). Stosowana dotąd zasada: *Cujus regio, ejus lingua* (Czyj kraj, tego i mowa) prędzej lub później przestanie być zasadą polityki w dawniejszem swojem pojęciu, t. j. nie w znaczeniu ułatwienia praktycznego, zgodnego również z życzeniem ludności, lecz w znaczeniu prawa rządu przepisywać poddanym dany język, a ograniczać używanie innych w sposób, niekiedy równający się zakazowi.

„Język rosyjski jest tak dalece potrzebny dla wszystkich w Rosyi mieszkających, że gdyby np. zabroniono Polakom uczyć się go, to uczyliby się pokryjomu. Nauka atoli języka urzędowego powinna być właśnie dobrowolna, nie zaś przymusowa, a zwłaszcza nie powinna się dokonywać ze szkodą języka krajowców.

„Zaliczenie siebie do tego lub innego narodu powinno być skutkiem przeświadczenia, gustu lub sumienia, zależnie od pochodzenia i wychowania. Państwo nie powinno wcale wtrącać się do tej dziedziny życia osobistego, jak nie powinno się wtrącać do spraw wyznaniowych. Uciskać jeden naród na rzecz drugiego znaczy to samo, co uciskać jedno wyznanie gwoli drugiemu. Wolność sumienia powinna rozciągać się również na wybór narodowości.

„Osobiście życzyłbym, ażeby przybysze lub ich potomkowie (jak np. Polacy w Cesarstwie) zlewali się z ludnością rdzenną, ale jeszcze bardziej jestem przeciwnikiem gwałcenia sumień i świadomości narodowej, albowiem przymusowe wynaradawianie posiada dużo cech wspólnych z prześladowaniami religijnemi".

Odezwę swoją kończy oświadczeniem:

„Poglądy, których bronię, są wyznawane przez wszystkich postępowo i liberalnie myślących ludzi w Rosyi.

„Narodowo-liberalnych niemasz śród nas. Narodowcy nasi nie są liberalni, nie umieją wznieść się do wskazań prawa przyrodzonego o swobodzie każdej jednostki z osobna i każdego narodu, jako osoby zbiorowej. Są oni skrajnymi zwolennikami państwowości, ale państwo w ich rozumieniu to jakiś Moloch, wymagający ofiar ludzkich.

„Polacy powinni wiedzieć, że tylko w obozie postępowych Rosjan mogą znaleźć zasadnicze uznanie swoich praw narodowych, my zaś powinniśmy jak najczęściej powtarzać, że to uznanie ma właśnie charakter zasadniczy, a bynajmniej nie jest chwilowem ustępstwem, posiadającem cechę wynagrodzenia za przyobiecaną nam pomoc".

W piśmie fachowem *Prawo* tenże sam Kariejew pisze:

„Wypadki ostatnie wywarły wpływ silny na idee polityczne; w usposobieniu społeczeństwa polskiego zaszedł zwrot naturalny. Nie twierdzę, że w Polsce nikt nie marzy o niepodległości politycznej, większość jednak widzi konieczność poddania się władzy trzech obcych państw, byleby te dały możność rozwoju kulturalnego narodowości polskiej.

Jest to punkt widzenia nietylko zachowawczych, lecz także wielu postępowych żywiołów społeczeństwa polskiego. W Austro-Węgrzech, Prusach i Rosyi Polacy mają do czynienia nietylko z rządami, lecz także z obcoplemienną społecznością. Odcienie są rozmaite.

W Austryi zbliżenie z klerykałami ułatwiło porozumienie zachowawcom. Zbliżeniu podobnemu żywiołów zachowawczych polskich i rosyjskich w Rosyi stoją na przeszkodzie nieporozumienia wyznaniowe.

Analogię ze stańczykami austryackiemi stanowią ugodowcy, którzy nie znajdują poparcia w społeczeństwie rosyjskiem. Zresztą możliwość porozumienia się Polaków z Rosyanami nie jest wyrazem życzeń ugodowców. Dwadzieścia pięć lat temu, w polskim tygodniku *Prawda*, wydawanym przez Świętochowskiego przeprowadzano myśl, że najszybszy rozwój czeka Polaków w Królestwie Polskiem, gdzie przyszłość narodowości polskiej znajduje się w bardzo sprzyjających warunkach, w Rosyi bowiem niema berlińskiego centrum i wiedeńskiej prawicy.

Zachowawczość polska — tak kończy się artykuł *Prawdy*—nie znajduje sprzymierzeńców w Rosyi. Kariejew pisze w dalszym ciągu: Niezapominajmy, że artykuł ten ukazał się w jednem z pism warszawskich, podlegających cenzurze. Nie przeszkodziło to narodowcom rosyjskim od samego początku kiełkowania nowego prądu postępowej myśli polskiej zwietrzyć niebezpieczeństwo dla państwa.

Katastrofa 1861 r., reakcya, która się wtedy rozpoczęła, wywarły wpływ nieprzychylny na zapoczątkowanie zbliżenia żywiołów postępowych. Sprawa przeciągnęła się. Oznaką nowego ożywienia społecznego jest ogłoszenie w prasie rosyjskiej programu polskiej partyi postępowo-demokratycznej. Partya ta staje na punkcie widzenia etnograficznej a nie historycznej Polski. Rosya sama jest olbrzymim rynkiem zbytu dla przemysłu Król. Polskiego. Niebezpieczeństwo polityczne i ekonomiczne dla narodowości polskiej ze strony nacierającej niemieckości dobrze zrozumiane jest przez Polaków i Rosyan. Oto są — pisze profesor Kariejew—realne punkty oparcia dla pogodzenia interesów obu narodów; mogą to zrozumieć jednak tylko ludzie zapatrujący się na sprawę z humanitarnego i demokratycznego punktu widzenia."

W *Now. Wrem.* w korespondencyi z Władykaukazu czytamy:

Ze smutkiem musimy zauważyć, że obecnie wogóle daje się spostrzegać jakaś wspólna wszystkim Rosyanom tendencya objaśnienia wzburzonego, a w części i buntowniczego nastroju obcoplemieńców, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, przyczynami natury wyłącznie ekonomicznej. Tymczasem w porównaniu ze wszystkiemi innemi panującemi na ziemi narodami i plemionami, nam, Rosyanom, prędzejby można było zarzucić niezwykłe zapominanie o własnych, narodowych interesach przy normowaniu trybu życia i praw podbitych przez nas narodowości.

Do żadnej z nich, jakkolwiekby ona była małą i nic nieznaczącą, nie stosowaliśmy nigdy twardego hasła „Biada zwyciężonym!" Przeciwnie, często sami sobie przyczynialiśmy kłopotów i nieprzyjemności, zupełnie jakby w imię zasady „Biada zwycięzcom!" Wszędzie i zawsze, gdziekolwiekbądź i kogobądź przyszło nam zwyciężać i podbijać, wszędzie wnosiliśmy z sobą szeroki, demokratyczny prąd zupełnego równouprawnienia obywatelskiego zwyciężonych ze zwycięzcami. Zwłaszcza daje się to zauważyć w stosunku do półdzikich narodów kaukaskich, różnorodnych pod względem pochodzenia, religii i praw zwyczajowych a mało lub wcale niecywilizowanych, którym spieszyliśmy się zapewnić te wysokie prawa starej kultury, który wyrabia sobie każdy naród historyczny w ciągu swego własnego, stopniowego rozwoju. Wszędzie z troskliwą ostrożnością obchodziliśmy się z miejscowym obyczajem i prawem narodów podbitych jeśliśmy gdzie co niszczyli przemocą i nagle, to tylko to, co miało charakter tyrański lub feodalny. Tak postępując, byliśmy głęboko przekonani, że z posiewu dobra, z zaparcia się naszych interesów egoistycznych zbierać będziemy wdzięczność. Omyliliśmy się jednak i oto bliski jest dzisiaj ów historyczny moment, kiedy narodowości nam podległe, wyrosłe na naszem wielkodusznem i ciepłem łonie, poczuwszy się w sile, rozpoczną bez najmniejszej świadomości szarpać pierś narodu rosyjskiego, który je wykarmił i wyhodował.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Władze Towarzystwo Kredytowego Ziemskiego otrzymały z Petersburga zawiadomienie o zaniechaniu projektu zniesienia dyrekcyi szczególowej, o prawie prowadzenia w języku polskim korespondencyi władz Towarzystwa z delegatami taksowymi i dokonywania prac tychże delegatów, Wszelkie inne czynności mają być nadal uskuteczniane w języku rosyjskim.

— Tow. kolonij letnich urządza dla płacących w tym roku tylko jeden sezon 6-tygodniowy. Opłata za cały ten czas wynosi 18 rb. Inne warunki nie podlegają zmianie. Wyjazd dzieci naznaczony na 28 czerwca. Zapisy przyjmuje biuro Kolonij. Świętokrzyzka 25.

— Do Rady państwa wniesiono projekt prawa opracowany jeszcze za czasów ministra sprawiedliwości Murawjewa, który orzeka, że kobiety-lekarki mogą być wzywane do samodzielnego sądowo-medycznego badania kobiet i dzieci, arkuszerki zaś tylko w roli pomocnic sądowych lekarzy.

— W Petersburgu powstaje pierwsze towarzystwo, do walki z prostytucyą. Celem jego dążenie do zniesienia wszelkiej reglamentacyi prostytucyi, uwłaczającego rewidowania kobiet zniesienia domów publicznych i prostytucyi ulicznej i dopomaganie wszystkim kobietom, pragnącym zaprzestać zajmowania się prostytucyą. Nowe towarzystwo istnieć będzie niezależnie od rosyjskiego towarzystwa ochrony kobiet i stawia sobie zadania znacznie rozleglejsze. Do nowego towarzystwa zamierza przystąpić wiele cudzoziemek: Angielek Szwedek i Finlandek.

Wiadomości urzędowe. *Nowosti* zapowiadają, że po załatwieniu spraw polskich, komitet ministrów przystąpi do rozważenia projektu zniesienia granicy osiadłości starozakonnych i wogóle do spraw żydowskich.

— Konsulat tutejszy austryacko-węgierski ogłasza iż podróżni, na których paszportach nie będzie umieszczona wiza, przez granicę przepuszczani nie będą. Podnosi to cenę paszportu o rb. 2, 30 kop.

— Ministeryum wojny zamierza ograniczyć władzę dyscyplinarną naczelników. Kaprale, feldfeblowie, wachmistrze nie będą mieli prawa karania podkomendnych, oficerowie niższych stopni tylko będą mogli upominać, a jedynie wyższym oficerom będzie wolno skazywać na areszt.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty uznało za niewłaściwe powierzanie nauczania religii w szkołach początkowych osobom świeckim, gdyż to mogłoby wnieść do szkoły niestałość pojąć religijnych i spowodać zmniejszenie wpływu duchowieństwa na parafian.

— Od kilku dni władze szkolne odsyłają rodzicom papiery uczniów, którzy przestali uczęszczać do gimnazyów. Wręczaniem papierów zajmuje się policya, żądając od rodziców deklaracyj na piśmie, że synowie ich zrzucą bezwłocznie odzież mundurową.

— Szkoły dla żołnierzy t. z. „rotne" mają być zreformowane. Nauczyciele-kaprale będą kontrolowani przez inspektorów szkolnych. Do programu nauki ma wejść czytanie planów i kart, podstawowe wiadomości z topografii itd.

— Zwierzchność niektórych szkół średnich zabroniła uczniom czytywania utworów Gorkiego i Andrejewa, oraz wydawnictw Towarzystwa „Znanie" (wiedza). Nieposłuszni podlegać będą karom dyscyplinarnym, a nawet wydaleniu.

— Liczba studentek na uniwersytecie wiedeńskim wynosi obecnie 356, gdy w roku zeszłym tylko 240; na medycynie jest 31, zwykłych 32, na filozofii — 75, nadzwyczajnych 156, wolnych 76; aptekarek 3, na prawie 9 słuchaczek wolnych.

Hygiena i zdrowie. *Gazeta Lekarska* podaje projekt zwołania w Warszawie zjazdu lekarzy w celu obmyślenia środków przeciw grożącym nam epidemiom cholery i zapalenia opon mózgowych.

— Prof. weterynaryi Widemann z Charlottenburga twierdzi, że drętwa jest znaną chorobą zwierząt, dość łatwo dającą się wyleczyć zapomocą roztczynu *curare*, którego możnaby bez obawy sprobować wstrzyknąć kilka centigramów na karku i szyi ludzkiej.

Wiadomości naukowe. Lekarze krakowscy Haraszkiewicz, Droba i Kuczera znaleźli podobno „meningokoki." przy sekcyi trupa 8 letniego chłopca, który umarł na drętwę karku.

Prasa. *Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza* przeszła na własność p. Ludwika Piekarskiego. Na redaktora przedstawiony p. Zenon Pietkiewicz.

Sprawy ekonomiczne. Jeden z lombardów akcyjnych, jak czytamy w *Gaz. Pol.*, robił w roku ubiegłym obroty tak pomyślne, że z zysków wydzielił swym akcyonaryuszom nie mniej i nie więcej jak 14% dywidendy.

— Ministeryum spraw wewnętrznych otworzyło nadzwyczajny kredyt ponad budżetowy w sumie rb. 250,300 na zapomogi dla rodzin żołnierzy powołanych z Królestwa Polskiego do służby czynnej. Na gub. Lubelską przypada z tego 588 rb.

— Targ. prz. Gazeta podaje następujące wiadomości: Środki skarbu państwa powiększone być mają jeszcze przez podniesienie od d. 14 stycznia 1905 r. ceny wódki zwyklej o 40 kop. a stołowej o 1 rb. na wiadrze i przez podwyższenie taryf kolejowych na towary leśne, szybko psujące się itd. Podwyższenie cen wódki da skarbowi 25 milionów rubli, podwyższenie taryf kolejowych 1,000 rubli. Dalej, podwyższenie podatku stemplowego da 7 milionów rubli. Tym sposobem ogólne podwyższenie dochodów skarbu wyrazi się 52 mil., nie licząc wniesionych już do budżetu 12 milionów (podniesienie podatku od nieruchomości miejskich) uzupełniający podatek przemysłowy, podwyższenie pewnych taryf kolejowych.

— Handel wódką ma być zniesiony w niedziele i święta. W dni powszednie sklepy skarbowe mają, być otwarte tylko w ciągu 6 godzin. Cena wódki ma być podniesiona o 10%. Handel nią skarb zamierza oddać Tow. akcyjnemu i w części Kuratoryom.

— *Warsz. Dn.* donosi, iż Towarzystwa niemieckie eksploatujące przedsiebiorstwa górnicze w okręgu dąbrowskim, zawiadomiły swoich akcyonaryuszów, że straty, poniesione przez kopalnie i fabryki skutkiem strajku robotników, są bardzo znaczne i dotkliwie odbijają się na dochodach i dywidendach za r. b.

— Wśród fabrykantów petersburskich powstał projekt, jak donosi *Warsz. Dn.*, wezwania do zakładów mechanicznych i fabryk przędzalnianych robotników z Finlandyi, Szwecyi i Niemiec.

Koleje i komunikacye. W letnim rozkładzie jazdy ministeryum zamierza wprowadzić pewne udogodnienia dla podróżujących koleją, a mianowicie: zwiększyć szybkość ruchu pociągów osobowych, skrócić czas zatrzymywania się na stacyach, powiększyć ilość pociągów podmiejskich, w strefie 100 wiorstowej od większych miast, wprowadzić kontrolę biletów bez niepokojenia podróżnych w nocy.

OFIARY.

Dla głodnych zamiast urządzenia święconego J. Radlińska, J. Brodowiczowa z Żytomierza rb. 25.

Dla biednych znajdujących się w największej potrzebie przeznacza grono Wołyniaków i Wołynianek rb. 46 kop. 29, zebrane z oszczędności na „święconem" w Uściługu na Wołyniu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 22 Апрѣля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.